POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 7-go lutego 1942r.** **Rok IV. Nr. 6**

OSKARŻENIE NARODU

W pałacu św. Jakuba w Londynie zebrali się niedawno przedstawiciele dziewięciu krajów okupowanych, ażeby oskarżyć publicznie Rzeszę niemiecką o politykę ucisku i gwałtu i oznajmić przed światem, że winni zbrodni nie umkną wymiaru sprawiedliwości.

Niemal równocześnie pojawia się wydawnictwo Ministerstwa Informacji rządu polskiego, "*German New Order in Poland,*" zyskując od razu obszerne omówienia prasy brytyjskiej. Dobrze się stało, że wydawnictwo to pojawia się akurat w tej chwili, gdy brzmią jeszcze słowa oskarżenia z Pałacu Św. Jakuba. Dobrze się stało, że czarna księga okrucieństw niemieckich popełnianych na ziemiach polskich zjawia się teraz właśnie: oskarżycielem głównym na naradzie dziewięciu państw była Polska, ona też podjęła inicjatywę zwołania zebrania sojuszników. Dobrze się wreszcie stało, że wydawnictwo naszego Min. Inf. nosi taki a nie inny tytuł: "*German New Order*" a nie "*Nazi New Order*" /książka pod tym drugim tytułem pojawiła się niedawno nakładem jednej z angielskich firm wydawniczych/.

Książki takiego typu, jak wydana świeżo rzecz Polskiego Min. Inf. są szczególnie potrzebne dla rynku angielskiego i amerykańskiego. Dalej bowiem wśród narodów anglosaskich snuje się wiele przesądów na temat Rzeszy, panuje wiele powątpiewania na temat okrucieństw popełnianych przez niemieckich siepaczy. Wynika to z faktu, że Anglosasi znają Rzeszę z nienajgorszej strony: oglądali oni uśmiechnięte oblicze Niemiec—winnice Nadrenii, wioski Bawarii, pasję w Oberammergau. Rzesza wiedziała jak ujmować sobie obcych, a szczególnie Anglosasów, na których opinii zależało im tak bardzo w okresie, gdy hitleryzm nabierał form i kształtów.

Świat anglosaski nie zdaje sobie sprawy, że są dwa oblicza Niemiec: jedno, cywilizowane—do czasu—dla Zachodu, drugie barbarzyńskie i prymitywne dla Wschodu Europy. Prawica oczywiście nie powinna wiedzieć co robi lewica: Zachód nie powinien wiedzieć o twarzy wschodniej Rzeszy. Niemcy ufają swojej propagandzie nie od dzisiaj—wiedzą, że jest sprawna, głośna, że działa masą, atakiem czołowym. Dlatego ufali —i ufają dalej—że Zachód nie będzie wierzył nadmiernie temu, co Wschód Europy podaje Zachodowi do wierzenia.

Jest to niewątpliwy *handicap* Wschodu Europy, który nie zdołał sobie wyrobić na rynku propagandy tej marki i tego wzięcia co propaganda niemiecka, drążąca od lat. Tym większe spoczywają obowiązki na naszej propagandzie, ażeby dać świadectwo prawdzie w formie dla Anglosasów dostępnej, opanowanej, pozbawionej nadmiernej przesady, akcentowania niewłaściwych szczegółów. W tej właśnie robocie pohamowanie własnego temperamentu, narzucenie sobie pewnych wędzideł jest wskazane, ze względu na rynek, na jego specjalne upodobania, skłonności; w ograniczeniu, opanowaniu pokazuje się prawdziwy majster propagandy.

Albowiem rynek anglosaski jest właśnie bardzo osobliwym rynkiem. Natura angielska jest optymistyczna i pragnie widzieć w świecie rzeczy dodatnie, twórcze. Anglosasi obcy są nienawiści i dążą stale do stworzenia sobie możliwie spokojnego, opanowanego sądu. Ich namiętności mają o wiele mniejsze wychylenia, aniżeli namiętności i pasje ludzi z kontynentu. Z tego to powodu Anglik podejrzewa nader często człowieka z kontynentu o przesadę, jeżeli opowiada o dobrych czy złych rzeczach.

Wzbudzenie nienawiści w Angliku jest zadaniem nader trudnym: jeżeli jednak Anglik zostanie urażony w swoich podstawowych instynktach, reagować potrafi zimną furią. Rzecz jednak ciekawa, że ta zimna furia angielska nie trwa długo. Anglik, realista i empirysta, człowiek wnioskujący z doświadczenia, uważa, że nienawiść, zimna furia, są to rzeczy potrzebne, konieczne—ale zło konieczne. Dlatego, gdy tylko kończy się wojna, należy zarówno nienawiść, jak *cold fury* odłożyć do lamusa. Nie powinny one kierować naszymi uczynkami w dobie normalnego życia.

Tym należy tłomaczyć fakt, że po ostatniej wojnie fala niechęci do Niemiec opadła w Anglii nader szybko, że kampania pod hasłem "na latarnię z Kaizerem" nie zyskała pełnego uznania. Anglia była pierwszym krajem, który Niemcom podał rękę w myśl sportowej zasady, która każe zwycięskiemu zapaśnikowi uściskać dłoń pokonanemu a nawet pomóc mu dźwignąć się z desek ringu.

Dla optymistycznej natury angielskiej nie do przyjęcia były pewne nowinki z Trzeciej Rzeszy. Anglik przymykał oczy na wieści o prześladowaniu Żydów, o tworzeniu szkół zwanych *Ordensburgami,* na teorię rasową. Dla Anglika było bowiem rzeczą nie do pojęcia, ażeby naród niemiecki, leżący w sercu Europy i będący stacją rozdzielczą wielkich prądów kultury przez tyle wieków, by ten naród świadomie postanowił odwrócić łożysko dziejów i w nawrocie do barbarzyństwa i pierwotności upatrywać cel nowego tysiąclecia germańskiego.

Anglik jeszcze dzisiaj nie bardzo orientuje się w zagonach barbarzyństwa, jakie zalewa Europę. Nie chce i dzisiaj jeszcze wierzyć, że sadyzm i okrucieństwo są po prostu przedmiotami obowiązkowymi wychowania niemieckiego, że Trzecia Rzesza walczy z chrześcijaństwem w sposób najgroźniejszy, albowiem stara się kościoły rozsadzić od wewnątrz. Anglik i dzisiaj jeszcze nie może pojąć osobliwej duszy niemieckiej, która znajduje rozkosz w znęcaniu się nad pokonanym i opanowana jest szałem władzy, władzy i panowania, za wszelką cenę. Anglik i dzisiaj jeszcze nie może pojąć, na czym opiera się nieprzejednana niemiecka wola władzy, dlaczego w mózgu niemieckim nie ma miejsca na ten wspaniały pomysł anglosaski: kompromis, który jest niczym innym jak wolą zrozumienia stanowiska drugiej strony, wolą znalezienia jakiegoś sposobu ludzkiego współżycia.

Powoli, nader powoli wsiąkają pewne prawdy w mózgi anglosaskie. Ale i dzisiaj jeszcze czyni się rozróżnienie między dobrymi Niemcami a złymi hitlerowcami; jeszcze dzisiaj toczą się spory na temat tego przedziału biegnącego przez Rzeszę, jeszcze dzisiaj odzywają się apele, ażeby nie dawać folgi nienawiści wobec wroga. Te wszystkie objawy, które drażnią nas, krewkich Polaków, drażnią nas i gniewają, albowiem znamy rozmiary naszych cierpień i znamy także wschodnią twarz Rzeszy —dowodzą jednak, że pokłady humanitaryzmu i chrześcijaństwa są w Anglii nader poważne i że kraj ten niechętnie wkracza na ścieżkę nienawiści.

Nie znaczy to bynajmniej, ażeby zaniedbać dzieła uświadamiania Anglii na temat Rzeszy. Przeciwnie, pracę tę należy prowadzić dalej, prowadzić rozsądnie, spokojnie, bez zniechęcania się i opuszczania rąk. Trzeba odsłonić przed Anglikami wschodnie oblicze Rzeszy, oblicze zarezerwowane dla narodów "niższego gatunku," dla narodów, które nie potrafią się bronić odpowiednio skuteczną propagandą, których głos nie dochodzi tam, gdzie dochodzi głos Niemiec. Trzeba pokazywać, że charakter niemiecki cierpi na osobliwy brak równowagi, że pasje najbardziej ponurego zabarwienia wybuchają w tym charakterze zawsze wtedy, gdy się mu ktoś sprzeciwia, gdy nie może narzucić swojej woli, swojej władzy. Niemiec jest jednym z najmniej kulturalnych ludzi, jeżeli chodzi o świat pasji, namiętności. Czerwona mgła pada mu na oczy niebywale szybko. Dla usprawiedliwienia swoich apetytów, przeważnie niskich i zwierzęcych, potrafi zbudować nader przemyślny gmach subtelnej, naukowej doktryny. Jest to osobliwa obłuda natury niemieckiej, najbardziej może odrażająca cecha niemiecka.

Trzeba również starać się wdrożyć w mózgi angielskie pojęcie o zbiorowej odpowiedzialności narodu za pewne czyny. Dobrzy Niemcy mogą i istnieć, ale niestety, są oni albo bezsilni albo bez charakteru. Nie okazali dostatecznego hartu, ażeby zatrzymać powódź barbarzyństwa, przystosowali się zbyt szybko do nowego ładu wewnątrz własnego kraju. Zgodzili się na rządy opryszków, na rozpanoszenie się przekupstwa wszelakiego rodzaju, na łamanie prawa we wszelkie sposoby.

Naród oceniać jednak trzeba według jego systemu rządzenia, trzeba jednak takie czy inne rządy uważać za częściowy przynajmniej wyraz skłonności danego narodu. Hitler nie doszedł do władzy w drodze krwawego zamachu stanu, usunięcia od jednego zamachu swoich przeciwników, ale drogami wcale konstytucyjnymi. Rozłożył od wewnątrz niemieckie życie polityczne, żerował na społeczeństwie niemieckim, które udzieliło mu olbrzymiego poparcia.

Dlatego przeciągnięcie linii między uczciwymi Niemcami a złymi hitlerowcami nie rozwiązuje sprawy—jest to zbyt proste, zbyt naiwne. Karę ponieść musi naród niemiecki, albowiem zbyt liczni przedstawiciele tego narodu i to ze wszystkich klas i warstw—popełniali nadużycia, zbrodnie i gwałty. Odpowiedzialność musi być zbiorowa, wina spada na tych wszystkich, którzy zbrodnie popełniali i zbrodnie te przemilczali czy—co gorzej—ze zbrodni tych korzystali.

Trzeba też wytłómaczyć narodowi angielskiemu, że nienawiść nie jest czymś wynaturzonym czy zboczonym, ale że jest uczuciem w pełni uprawnionym—odruchem każdej zdrowej natury, zagrożonej przez barbarzyństwo, przez siły zła, siły, które chcą zniszczyć kulturę, chcą wytrzebić poczucie ludzkiej godności. Trzeba by zwątpić w narody ujarzmione Europy, gdyby narody te łasiły się do Niemców. Trzeba by położyć krzyżyk na Europie, jeżeli by narody podbite zaczęły dopatrywać się w swej poniewierce oznak lepszego bytu, gdyby zgodziły się biernie na niewolnictwo, jakie Rzesza im chce narzucić. Nienawiść jest zatem wyrazem woli życia, wyrazem hartu i tężyzny—brak tej nienawiści byłby dowodem zupełnego spodlenia i braku sił Europy.

To wszystko trzeba tłomaczyć spokojnie i beznamiętnie ogółowi anglosaskiemu. Tłomaczyć dzisiaj i jutro, w dobie walki i zbrojnego starcia, jak i potem—w okresie, kiedy opadnie łoskot walki. Nie możemy ani na chwilę zapominać o tej osobliwej skłonności brytyjskiej, która polega na szybkim zapominaniu o uczuciach tzw. ujemnych, która szuka wszędzie rzeczy realnych, optymistycznych, pragnie kompromisu dla wszystkich i wszystkiego. Okres powojenny będzie tu równie ważny, jeżeli nie ważniejszy, niż dzisiejsza doba zbrojna.

"Czarna księga" wydana przez Min. Inf. rządu polskiego będzie ważną pomocą w tym względzie. Daje ona bowiem katolog obszerny i sumiennie zestawiony. Jest oskarżeniem krzyczącym, oskarżeniem nie partii hitlerowskiej, ale przedstawicieli narodu, przedstawicieli wszystkich warstw narodu niemieckiego.

Trzeba powiedzieć Anglikom jasno i otwarcie jeszcze jedno: że nie jesteśmy bynajmniej fatalistami, że bynajmniej nie twierdzimy, że z narodem niemieckim pożycie jakie takie jest niemożliwe, że pokój z tym narodem to tylko wstęp do nowej wojny. Owszem, pragniemy widzieć nowe Niemcy, ale zdajemy sobie sprawę, jak niebywale ciężki i trudny będzie to zabieg. Zdajemy sobie sprawę jak głębokie korzenie zapuściła nienawiść, sadyzm i okrucieństwo w młodych duszach niemieckich.

Nie jesteśmy przeciwni reedukacji Rzeszy, wychowania Rzeszy na uczciwego obywatela Europy, ale nie możemy ulegać złudzeniom. Musimy domagać się gwarancji bezpieczeństwa dla Europy i dla nas jako, że jest to sprawa nierozłącznie ze sobą związana. Musimy także domagać się, ażeby rozbrojenie Rzeszy było zupełne, ażeby pogotowie państw otaczających było czujne i ażeby przez pewien przeciąg lat Rzesza pozostawała pod nadzorem Europy.

To wszystko trzeba tłómaczyć, znowu bez nadmiernego patosu i przesady—jak prawdy proste, oczywiste, realne, beznamiętne. Wtedy dopiero robota pierwsza otrzyma właściwe dopełnienie i osiągnie swój cel—albowiem nie wystarczy pokazać zniszczenie: trzeba pokazać także odbudowę.

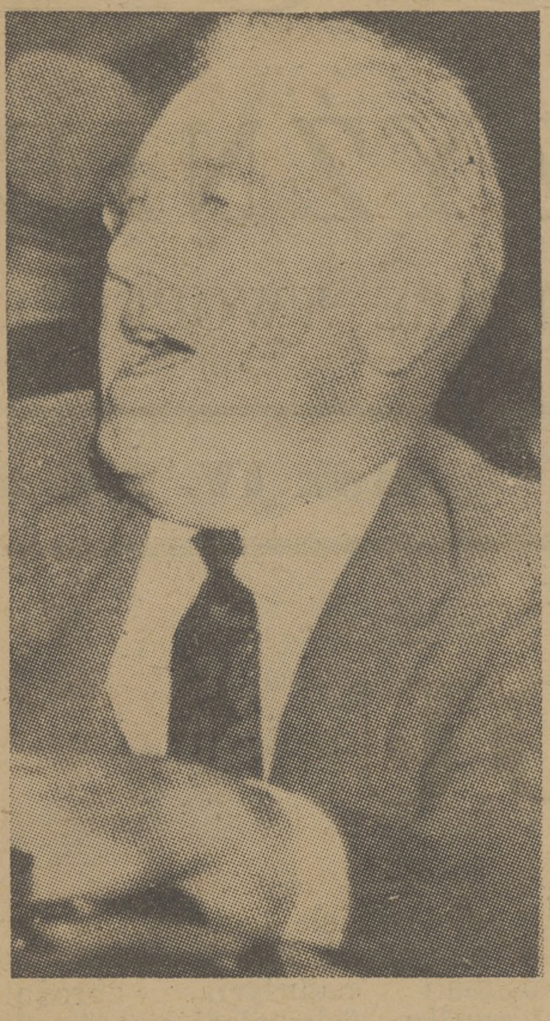
ZBIGNIEW GRABOWSKI

rys. Zdzisław Borysowicz



Polakom w Rosji

Franklin Delano Roosevelt



I

Polska była pierwszym krajem, który przyjął walkę, Stany Zjednoczone uczyniły to obecnie . . .

Pamiętajcie Polacy, że z wojny tej wyjdziemy wolni z woli Boga i z możnością prowadzenia w dobrobycie życia uczciwego i zdrowego.

(z orędzia prezydenta Roosevelta do Polaków pod tytułem "Prezydent wie.")

Franklin Delano Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych skończył dnia 29 stycznia lat 60. W wilię tego dnia wydał orędzie do Polaków, będące jednym z najpiękniejszych dokumentów ludzkości. Jest więc podwójna okazja, by przyjrzeć się bliżej temu człowiekowi, będącemu niewątpliwie nie tylko największym z żyjących mężów stanu, ale jednym z największych na przestrzeni wieków, by spróbować sobie zdać sprawę z tego, kim jest Franklin Roosevelt i co reprezentuje.

Roosevelt jest z pochodzenia arystokratą. Coprawda prasa Goebbelsa i Mussoliniego stale nazywa go Rosenfeldem i tłumaczy jego rzekomo żydowskim pochodzeniem tę chłodną, nieubłaganą nienawiść, jaką Roosevelt zawsze żywił do totalizmu i do jego wodzów, ale to nie zmienia faktu. Roosevelt jest z pochodzenia arystokratą. Oczywiście arystokratą amerykańskim, a w Ameryce pojęcie arystokracji jest cokolwiek odmiennie od pojęcia kontynentalnego. Arystokratami w pojęciu amerykańskim są bowiem potomkowie pierwszych kolonistów, rodziny najdawniej w Ameryce osiadłe, bez względu na to, czy ten pierwszy imigrant należał w Europie do szlachty, czy też był skromnym kupcem lub rzemieślnikiem (w praktyce ci pierwsi imigranci z XVII wieku byli raczej tego drugiego pokroju.)

Do arystokracji amerykańskiej należą więc te rodziny bostońskie, które pochodzą od pierwszej emigracji purytańskiej, przyczem najwyższym szczęściem jest móc się wylegitymować pochodzeniem od jednego z pasażerów "Mayflower," pierwszego statku, na którym purytanie opuścili Anglię, prześladującą ich wiarę; arystokratami są potomkowie najdawniejszych plantatorów Wirginii (należał do nich Jerzy Waszyngton); arystokratami są wreszcie potomkowie rodzin holenderskich, osiadłych w dzisiejszym Nowym Jorku, w czasach, gdy nazywał on się jeszcze Nowym Amsterdamem i był kolonią holenderską.

Do tych ostatnich rodzin należy i rodzina Rooseveltów.

Na przełomie wieku XIX i XX i na początku wieku XX jeden z Rooseveltów odegrał w Stanach olbrzymią rolę: krewny Franklina, Teodor Roosevelt. Była to postać romantyczna, można by nawet powiedzieć awanturnicza. Lubił polować na lwy w Afryce, lubił wszelką walkę. I gdy wybuchło powstanie na Kubie Teodor Roosevelt zorganizował pułk kawalerii i pojechał walczyć z Hiszpanami. W tym samym zaś czasie w armii hiszpańskiej walczył młody Anglik, równie żądny przygód, któremu znudziło się życie garnizonowe i który jako solidny konserwatysta oczywiście walczyć mógł jedynie w armii rządu legalnego. Nazywał się ten młody oficer angielski—Winston Churchill.

Kawalerzysta Roosevelt był niezwykle popularny i przy najbliższych wyborach prezydenckich partia republikańska, pragnąc tę jego popularność wyzyskać, postawiła jego kandydaturę na wiceprezydenta Stanów. Gdy zaś prezydent MacKinley zginął od kuli anarchisty Teodor Roosevelt automatycznie został prezydentem a wkrótce potem został wybrany na prezydenta na następne czterolecie.

Okazał się jednak dla swoich wyborców bardzo niewygodnym prezydentem. Zaczął bowiem walkę z trustami. Udało mu się nawet przeforsować ustawę antytrustową. Gdy zaczął jednak walczyć z plutokracją amerykańską w ogóle, gdy zaczął myśleć o reformach społecznych—to było tego już za wiele; przy wyborach 1908 roku partia wyraźnie powiedziała Rooseveltowi, że krótki okres w którym zastępował MacKinleya należy uważać za prezydenturę i że wobec tego, zgodnie z niezmienną tradycją amerykańską, trzeci raz już kandydować nie może. Prezydentem został Taft.

Roosevelt jednak nie dał za wygraną. W wyborach 1912 roku postawił swą kandydaturę na prezydenta. Oczywiście nie z ramienia republikanów — maszyna republikańska, opanowana przez *big business* była by na to nie pozwoliła. Nie z ramienia demokratów—maszyna demokratyczna go nie chciała, bo musiała mieć swojego człowieka. Roosevelt stworzył więc nową partię—partię postępową, domagającą się reform społecznych, które w Europie wydawałyby się bardzo skromne, które zresztą należały w większości do dawno tutaj zrealizowanych, ale które w Ameryce wydawały się rewolucyjne..

Nie zwyciężył. Jego popularność osobista była jednak tak wielka, że otrzymał 4,126,020 głosów, podczas gdy kandydat republikanów, ustępujący prezydent Taft otrzymał jedynie 3,483,922. Prezydentem zaś, dzięki temu rozbiciu głosów, został kandydat demokratów, profesor Woodrow Wilson. A w gabinecie Wilsona znalazł się, jako wiceminister marynarki, młody krewniak Teodora Roosevelta, Franklin Delano Roosevelt.

Zatrzymałem się na historii Teodora Roosevelta, albowiem znajdujemy w niej elementy, które niewątpliwie odegrały rolę w życiu Franklina. To samo poczucie społeczne które miał Teodor będzie miał i Franklin. Tylko, kiedy u Teodora niechęć do rabunkowej gospodarki wielkiego kapitału i współczucie z dolą upośledzonych były instynktowne i plany poprawy nieprzemyślane, Franklin do tych samych zagadnień przystąpi później z niemniej gorącym sercem, ale jednocześnie i z rozumowym przygotowaniem.

Bankructwo zaś trzeciej partii Teodora, mimo to, że był on w roku 1912 niewątpliwie najpopularniejszym człowiekiem w Stanach, nauczyło Franklina, że maszynerią partyjną pogardzać nie można. Że należy dążyć do tego, by się nią posługiwać, a nie dać się jej opanować.

Jako wiceminister marynarki Franklin Roosevelt podczas Wielkiej Wojny odegrał rolę niezmiernie pożyteczną ale mało błyskotliwą. Wkrótce zaś potem spotkało go nieszczęście, które mogło raz na zawsze zakończyć jego karierę polityczną. Po powrocie z długiej kąpieli morskiej został porażony najstraszniejszą formą paraliżu: nieubłaganym paraliżem dziecięcym. Nastąpiły długie lata leczenia i walk o zdrowie. Jednak sparaliżowany Roosevelt nie odszedł od życia publicznego. Nie było go w rządzie, gdyż po Wielkiej Wojnie przyszli do władzy z powrotem republikanie. Rządy ich wobec niebywałego wprost wzrostu dobrobytu, który prezydenci republikańscy przypisywali skromnie sobie i swej partii, (swoim zasadom dania pełnej wolności "indywidualizmowi amerykańskiemu" czyli nie tylko kapitałowi produkcyjnemu ale i najdzikszej orgii spekulacyjnej), zdawały się zapewnione na bardzo długo. Jednak Rooseveltowi udało się uzyskać wybór na jedno z kluczowych stanowisk w Ameryce: został gubernatorem stanu Nowy York.

W roku 1929 prosperity amerykańska nagle się skończyła. We wrześniu zaczęły się załamywać kursy giełdowe. Następowały później poprawy, ale tendencja była jednak zasadniczo zniżkowa. Wreszcie we wtorek dnia 24 października przyszedł krach. Blisko 13,000,000 akcji sprzedano tego dnia na giełdzie nowojorskiej, każdy pakiet po cenie niższej od poprzedniego. Ceny akcji spadły przeciętnie do połowy.

Zaczęły się czasy kryzysowe, ta straszna depresja, która po Stanach ogarnęła Europę, z której Stany na gwałt zaczęły wyciągać pożyczone pieniądze. Trzy miliony robotników straciły pracę w krótkim czasie. Prezydent Hoover i partia republikańska mówili, że to chwilowy, przejściowy kryzys. Kryzys jednak trwał i zaczął obejmować coraz szersze kręgi. Liczba bezrobotnych ciągle wzrastała, bankrutowały przedsiębiorstwa i banki. Średnia klasa amerykańska wskutek spadku akcji utraciła wszystkie swe oszczędności i proletaryzowała się. Rolnicy nie mogli sprzedać swych produktów. A prezydent Hoover ciągle zapewniał, że to jest tylko przejściowe, że rząd nie powinien się do tego mieszać, że normalny rozwój gospodarki znowu przywróci "prosperity."

Cóż więc dziwnego, że gdy przyszły wybory w roku 1932 naród amerykański zrzucił odpowiedzialność za swą katastrofę na tych, którzy przedtem dumnie oświadczali, że ich zasługą jest "prosperity." Cóż dziwnego, że odwrócił się od tych, którzy żadnej pomocy dać mu nie chcieli i oddał swe głosy kandydatowi demokratycznemu. Byłby to uczynił, ktokolwiek by był tym kandydatem. A tak się złożyło właśnie, że kandydatem demokratycznym został wybrany, znany w Nowym Yorku ze swej walki z korupcją, ale poza tym niczem się specjalnie nie wyróżniający, młody względnie jeszcze — Franklin Delano Roosevelt.

CZESŁAW POZNAŃSKI

Roosevelt do Narodu Polskiego

Orędzie Prezydenta Stanów Zjednoczonych do narodu polskiego, będące aktem politycznym i moralnym o wielkim ciężarze gatunkowym, ma w tej chwili trojakie znaczenie.

Wzmacnia, zwielokrotnia wolę uporczywej i bohaterskiej walki kraju z okupantem. Dla podtrzymania ducha walki, napięcia woli i wysiłku trwania manifest Roosevelta jest pomocą bezcenną. Nie ma słów dość silnych, by uwypuklić wagę wystąpienia Roosevelta w tej mierze. Daje ono krajowi najoczywistszy i najbardziej autorytatywny dowód, że jego cierpienia bezmierne, że jego codzienna, heroiczna walka nie tylko nie idą na marne, ale, że docierają do świadomości opinii publicznej całego świata cywilizowanego, która sobie uświadamia, że jest to najważniejsza, podstawowa, zasadnicza forma protestu narodu polskiego przeciwko okupantowi.

Poprzez oświadczenie prezydenta Stanów Zjednoczonych kraj przejrzy, odczuje i doceni ogrom własnego wkładu w wojnę. Ujrzy nie tylko sens i celowość ofiary najlepszych swych synów, ale także odczuje, że to jego walka przede wszystkim, walka solidarna i jednolita, stwarzająca takie napięcie i ton moralny, że usuwa i uchyla możliwość polskich Quislingów—toruje i wykuwa lepszą przyszłość Polsce. Ci wszyscy, do których dotrą w Polsce słowa Roosevelta—ci nędzni wysiedleńcy z ziem zachodnich, ci wydawcy prasy tajnej, te kurierki i kolporterki druków nielegalnych, ci chłopi i robotnicy gnani na roboty przymusowe, ci zagłodzeni i zaszczuci inteligenci—dla nich wszystkich słowa Roosevelta będą nie tylko uznaniem i zrozumieniem jakże głębokim ich ofiarnictwa, ale w jeszcze większym stopniu staną się one elementem napinającym na nowo ich wolę walki, trwania i przetrwania.

Wojna obecna przyniosła szaloną dewaluację słowa mówionego i pisanego. To fakt, z którym trzeba się liczyć. Świat stał się nieufny i podejrzliwy wobec tylokrotnie zdeprecjonowanych słów dyplomatów. Ale mimo to a może wbrew temu, z tym większą uwagą słucha słów ludzi o wielkiej powadze moralnej,—ludzi, którzy mając instynkt urodzonych przywódców, nie schodzą z gruntu ustroju demokratycznego. Świat słucha z napięciem Churchilla i Roosevelta.

Tym bardziej Polska, dla której wszystkie nadzieje wiążą się ze zwycięstwem demokracyj anglosaskich, jak najpilniej przysłuchuje się słowom ich wielkich przywódców. Wiemy z prasy tajnej, że przemówienie Churchilla w dniu 3-go maja było wydarzeniem, które zelektryzowało Warszawę. Wiemy, że prasa tajna z błyskawiczną szybkością—a ileż wyrzeczeń i ofiarności ludzkiej musi się na to złożyć—starała się jak najszerzej rozpowszechnić apel Churchilla.

Wiedząc o tym, jesteśmy głęboko przekonani i pewni, że szlachetne orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych, wypowiedziane w chwili kiedy Ameryce nie brak własnych, jakże ciężkich trosk, zostanie należycie ocenione, odczute i zrozumiane w kraju. Cały naród polski pamięta dobrze, czym było dla jego politycznej przyszłości w czasie tamtej wojny wystąpienie prezydenta Wilsona. Dlatego też doskonale rozumie, że słowa prezydenta Roosevelta—"Stany Zjednoczone przyrzekają, że użyją wszystkich swych sił, aby zniszczyć najeźdźcę i odbudować Polskę"—są nie tylko apelem moralisty, odruchem oburzenia wobec gwałtów hitlerowskich, ale że są aktem polityka wiążącym na przyszłość. Słowa Roosevelta skrzepią wolę walki Warszawy, dotrą na wieś polską, gdzie liczni reemigranci w lot wyczują ich wielką wagę gatunkową.

Gdyby więc orędzie Roosevelta miało ten tylko jeden skutek, że dając satysfakcję moralną walce kraju, uznając przed światem celowość, konieczność i skuteczność tej walki, wzmogłoby jego wolę odporu, byłby to już wystarczający powód dla naszej głębokiej wdzięczności wobec przywódcy amerykańskiej demokracji. Ale znaczenie oświadczenia Roosevelta sięga dalej. Ma ono swój walor międzynarodowy. Stwierdzając, że "wartość wkładu Polski do wojny przeciw osi jest bezcenna," przypominając, że "wojsko polskie wzrasta i odbudowuje się z taką szybkością, że jego walczące oddziały są poważnym czynnikiem w wojnie przeciw państwom osi" Roosevelt podkreślił i uwypuklił, że w obrębie 26 państw walczących z osią Polsce przypada miejsce szczególnie znaczące.

Jest teraz rzeczą naszej dyplomacji i propagandy, by oświadczeniu temu nie tylko nadać najszerszy wydźwięk, ale żeby go umiejętnie politycznie wyzyskać. Oceniając sam fakt tego orędzia jako duży sukces nasz w tej chwili nie sposób nie zauważyć, że rezonans tego oświadczenia jak dotąd w prasie angielskiej jest zbyt nikły. Można się jednak spodziewać, że najbliższe dni przyniosą pożądaną korekturę, że orędzie dotrze nie tylko na łamy "France," ale co znacznie ważniejsze "Times'a." Przypuszczać wolno, że zostało odpowiednio rozpowszechnione w prasie amerykańskiej.

Wszędzie gdzie dotrze, podniesie prestiż Polski, pokaże—że wbrew łudzącym pozorom—najbardziej zmaterializowana demokracja świata przez usta swego wodza najlepiej potrafiła odczuć i zrozumieć bezkompromisowość postawy narodu, który nieraz zbyt łatwo oskarżany jest o nierozumny romantyzm polityczny. Postawa polskiej walki nieprzejednanej znalazła w Roosevelcie człowieka, który umiał dojrzeć nie tylko bohaterski jej patos, ale polityczną celowość.

Orędzie Roosevelta, podnoszące tak wysoko w oczach świata wysiłek kraju, walkę polskiego żołnierza, manifestujące nie tylko współczucie ale i współsolidarność amerykańskiej demokracji,—powinno wreszcie przynieść owoce i w innej jeszcze sferze. Powinno ono—i to jest trzecie jego znaczenie—odegrać rolę czynnika pobudzającego wobec Polonii Amerykańskiej. Słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych powinny jej chyba najoczywiściej i najdowodniej ukazać czego oczekuje po niej nie tylko Polska, ale także czego oczekują Stany Zjednoczone. Słowa Roosevelta winny być dla niej tym ostatnim przysłowiowym dzwonkiem alarmowym, że czas najwyższy na pełne wzmożenie i przyśpieszenie jej działań nie tylko w sensie ofiarności materialnej, ale także czynniejszego udziału w walce zbrojnej. Od postawy Polonii Amerykańskiej w tej chwili zawisł bowiem nie tylko zasięg i rozmiar jej roli w życiu nowej Polski, ale także stopień jej wpływów w życiu Ameryki powojennej.

To są perspektywy, jakie otwiera orędzie Roosevelta w skali wojennej. Schodząc na teren ciaśniejszy, naszych stosunków wewnętrznych i naszej orientacji zagranicznej orędzie Roosevelta do narodu polskiego winno nam przed oczy postawić inną prawdę. Gdy Niemcy mówią o wymazaniu z karty Europy na zawsze państwa polskiego, gdy uderzają w same najistotniejsze ośrodki polskości, podcinając podstawy bytu narodu, gdy Włochy przez usta Mussoliniego uznały sprawę polską za przekreśloną, gdy Hiszpania Franco usuwa reprezentację państwa polskiego, a żołnierzy polskich skazuje na obozy koncentracyjne—w takiej chwili prezydent Stanów Zjednoczonych deklaruje, "że demokracją musi przywrócić Polsce wolność."

To powinno być dla nas wszystkich zachętą do nie tylko formalnego, ale jak najpełniejszego ideowo związania z światem demokracji. Związania tak całkowitego, by aprobować nie tylko część, ale całość jego urządzeń i instytucyj publiczno-państwowych. Ta prawda winna szczególnie jasno stanąć przed tymi wśród nas, którzy w przeszłości mieli mniej lub więcej uświadomione sympatie dla ustrojów totalnych.

Dla większości bowiem narodu polskiego, dla jego masy chłopskiej, robotniczej i pracującej inteligencji, dążenia świata demokracji zachodnich od dawna były ich własnymi dążeniami. Te masy polskie w kraju i w Rosji przyjmą też dziś z zadowoleniem i radością słowa otuchy i nadziei, jakie przynosi im orędzie wielkiego wychowawcy amerykańskiej demokracji.

EDWARD ŻYWOŃ

ŻOŁNIERZ I MĄŻ STANU

Mój trzeci wykład* ma za temat stosunek generała, względnie dowodzącego wojskami, do czynników nadrzędnych, jakimi są zazwyczaj ministrowie, mężowie stanu.

Temat to niełatwy i nadający się w najwyższym stopniu do dyskusji. Jak wiecie dobrze, stosunki dowódców z mężami stanu nie układały się zbyt szczęśliwie podczas ostatniej wojny. Politycy oskarżali wojskowych o ciasnotę umysłu i zbyt pedantyczne, zawodowe poglądy, podczas gdy wojskowi byli skłonni przypisywać niejedną trudność "wtrącaniu się" polityków do prowadzenia wojny.

Ten zatarg pomiędzy czynnikami cywilnymi i wojskowymi jest względnie nowym elementem w historii, jest wynikiem ustroju demokratycznego a nie autokracji. W dawnych czasach niewielka była różnica pomiędzy wojskowym a mężem stanu, byli oni przeważnie łatwo pomiędzy sobą wymienni.

Z historji klasycznej Grecji przypominacie sobie zapewne wypadek Kleona i Nikiasa, podczas wojny peloponeskiej pomiędzy Spartą a Atenami. Demagog Kleon, przywódca opozycji, krytykował konserwatywnego Nikiasa. Ten ostatni postanowiwszy wykończyć przeciwnika wezwał go do stanięcia na czele wojska i dowodzenia operacjami. "Weź zatem dowództwo sam, a zobaczysz, czy potrafisz dowodzić lepiej ode mnie." Z wielką szkodą dla samego Nikiasa, i jak się potem okazało ze szkodą dla interesów ateńskich, Kleon przyjął wyzwanie, i udało mu się, przy wielkiej dozie szczęścia, odnieść świetne zwycięstwo.

W starożytnym Rzymie koniecznym warunkiem dowodzenia w polu było przejście przez wszystkie szczeble magistratury hierarchii cywilnej państwa. Generałowie, gdy było na nich zapotrzebowanie, byli wybierani z pomiędzy najwybitniejszych urzędników cywilnych. Przypominacie sobie może, jak opisuje Macaulay ojców miasta Rzymu, którzy w niebezpieczeństwie wybierają dyktatora "na sześć miesięcy, ale nie więcej." Byłoby może lepiej, gdyby ten obyczaj obierania dyktatora tylko na sześć miesięcy utrzymał się i teraz u nas w Europie.

Historia Hannibala daje nam pierwszy, uderzający przykład zniszczenia doniosłych planów wojskowych przez niedbalstwo polityków tej jednej z najwcześniejszych demokracji, jaką była Kartagina.

Przez liczne wieki władcy państw dowodzili sami swymi wojskami w polu, Aleksander Macedoński, królowie angielscy, Gustaw Adolf i t.d., i nie było, rzecz prosta, ingerencji cywilnej w sprawy wojskowe.

Marlborough był w dosyć szczególnej sytuacji. Był on nie tylko naczelnym wodzem, ale i faktycznie ministrem spraw zagranicznych; kierował polityką państwa ze swojej kwatery. U szczytu swojej kariery skupiał w swym ręku całą władzę i spełniał rolę premiera. Ale tym nie mniej, rzadko spotkać można wodza, którego plany byłyby tak często niweczone przez ustawiczne mieszanie się do nich holenderskich polityków oraz przez rywalizację i zawiści we własnym obozie. Znosił on to wszystko z pogodą ducha. Pomimo wszystkich przywar był to wielki człowiek i bezsprzecznie nasz największy geniusz wojskowy.

Generał-polityk jest czymś absolutnie niedopuszczalnym w brytyjskiej tradycji wojskowej, aczkolwiek większość naszych dowódców posiada pewne doświadczenie polityczne.

Cromwell był przez wiele lat członkiem parlamentu, zanim zabrał się do rzemiosła wojskowego. Marlborough, o którym tylko co wspominałem, miał nierównie więcej doświadczenia w intrygach politycznych, niż w dowodzeniu wojskiem, kiedy rozpoczynał swoją karierę jako generał. Wellington był członkiem obu parlamentów: angielskiego i irlandzkiego. John Moore, Craufurd, Graham, zwycięzca z pod Barossy, który po raz pierwszy zabrał się do spraw wojskowych w wieku lat 44—wszyscy wymienieni byli posłami do parlamentu.

Wiemy również, że podczas wojen prowadzonych przez francuski rząd rewolucyjny, komisarze polityczni ustawicznie utrudniali zadanie generałom, dopóki Napoleon nie zaprowadził porządku, ogłaszając się dyktatorem—nie na sześć miesięcy, ale aż do "ukończenia wojny."

Jeszcze jeden przykład, na który chciałbym zwrócić waszą uwagę, zaczerpnięty z amerykańskiej wojny cywilnej. Stosunki wielkiego męża stanu Lincolna[1] z generałami są pouczające. Po wielu próbach udało mu się znaleźć jednego z nich, do którego miał zaufanie i pozostawiał mu całkowitą swobodę. Pozwolę sobie odczytać wam wyjątek z listu Lincolna do generała Hooker.

"Postawiłem Pana na czele armii Potomac. Oczywiście miałem do tego wystarczające w moim mniemaniu powody, ale sądzę, że będzie lepiej, aby Pan wiedział, że pod niektórymi względami nie jestem z Pana zupełnie zadowolony. Jest Pan, jak sądzę, odważnym i znającym swój zawód żołnierzem, co bardzo sobie cenię. Wierzę, że nie miesza się pan w niczym do polityki, co uznaję za słuszne. Ma Pan pewność siebie, co jest bardzo cenną, o ile nie nieodzowną zaletą. Jest Pan ambitny, co w granicach rozsądnych jest raczej zaletą niż wadą. Ale, o ile mi wiadomo podczas gdy generał Burnside dowodził, zbytnio się Pan powodował ambicją własną i znaczną przez to szkodę wyrządził Pan krajowi oraz godnemu koledze-dowódcy. Słyszałem z dobrego źródła, że wyrażał Pan przekonanie, że rząd i armia potrzebują dyktatora.

Oczywiście to nie dlatego, ale wbrew temu wszystkiemu, powierzyłem Panu dowództwo. Tylko zwycięscy generałowie mogą sięgać po dyktaturę. Żądam od Pana wojskowych powodzeń, a wtedy zgodzę się może zaryzykować dyktaturę. Rząd będzie Panu we wszystkim pomagał w granicach jego możliwości, ale ani więcej ani mniej, niż innym generałom dowodzącym armiami.

Ale obawiam się bardzo, że ten duch krytyki i braku zaufania do dowódców, który Pan tolerował, a nawet sam wprowadził do szeregów armii, obróci się teraz przeciwko Panu. Będę czynił wszystko co w mojej mocy, aby Panu pomóc w wyplenieniu tego zła. Ani Pan, ani nawet sam Napoleon, gdyby jeszcze żył, nie byliby w stanie nic uczynić z wojskiem o takim nastawieniu do dowódcy."

Czy nie macie wrażenia, że tylko wielkiego męża stanu było stać na napisanie tego listu. Ale Lincoln nie znalazł w generale Hooker takiego generała, jakiego sobie życzył. Wybrał wreszcie na naczelnego wodza generała Grant'a. I zawsze zachował do niego całkowite zaufanie, pomimo, że Grant poniósł niejedną klęskę. Skoro usłyszał zarzut, że Grant jest pijakiem, zapytał o gatunek whisky ulubionej przez niego, aby "móc posłać skrzynkę takiej samej whisky innym generałom."

Przypomina to odpowiedź jaką dał Jerzy II jednemu ze swych ministrów, który o generale Wolfe, zdobywcy Quebec, wyrażał się jako o szaleńcu: "Na Boga, jakże chciałbym, aby ugryzł niejednego z innych moich generałów."

Podczas kampanii 1870 cesarz Wilhelm I i jego kanclerz Bismarck towarzyszyli Kwaterze Głównej Moltkego i wszystkie kwestie polityczne były odrazu na miejscu rozpatrywane. Były poważne różnice zdań pomiędzy Bismarckiem a Moltkem w sprawie bombardowania Paryża, zatarg został rozstrzygnięty na miejscu przez cesarza.

A teraz przejdziemy do Wielkiej Wojny. Nie mogę wchodzić w szczegóły niezliczonych błędów popełnionych przez wojskowych i polityków podczas tej długiej walki. Nie tylko jednak my je popełnialiśmy. Być może, że Niemcy przegrali tę wojnę z powodu wprowadzenia pod naciskiem wojskowych bezwzględnej wojny łodziami podwodnymi, bez względu na banderę, co spowodowało wypowiedzenie wojny przez Amerykę. Jakże taktownie i rozważnie prowadził politykę blokady nasz minister sir Grey, nie chcąc w żadnym wypadku narazić się Ameryce, a postępował tak nieraz wbrew naleganiu naszych wojskowych z Admiralicji.



Generał Wavell

rys Jan Rościszewski (Tom Titt)

Największe spory trwały jednak między Lloyd George'm i sir Robertsonem[2], którzy, jak to powszechnie jest wiadome byli bezmała stale przeciwnego zdania. Wielka to jest szkoda, że Robertson nie okazał się bardziej pojednawczy, a Lloyd George mniej uparty. Robertson niepotrzebnie traktował strategiczne pomysły premiera z grzeczną wyrozumiałością, zamiast wytłumaczyć mu na czym polegała fałszywość ich założeń. A Lloyd George nie mylił się w swoich pomysłach strategicznych, które były przeważnie doskonałe, ale nie posiadał dostatecznej znajomości mechanizmu wojny; np. jak wiele czasu potrzeba dla przewiezienia wojsk, jaki jest wpływ klimatu, geografii i t.d.

I tak wpadł on na pomysł "wypożyczenia" wojsk z frontu zachodniego w okresie zimowym, kiedy poważniejsze operacje nie mogły mieć miejsca, w celu przewiezienia ich do Palestyny przeciwko Turkom, aby po wykorzystaniu na tamtym terenie odesłać je na wiosnę z powrotem do Francji. Nie zdawał on sobie sprawy z trudności przewiezienia jednej lub dwóch dywizji z Francji do Palestyny. Nasze linie komunikacyjne z Palestyną wymagałyby w tym celu całkowitego przebudowania, co zajęło by kilka miesięcy czasu, zanim wojsko weszłoby tam do akcji. Zresztą pomimo położenia Palestyny, klimat jej w czasie zimy, jest prawie tak samo nieprzychylny dla prowadzenia operacji jak klimat francuski.

Podobnie rzecz się miała z jego pomysłem obejścia stalowego muru frontu zachodniego przez operacje we Włoszech i Serbii. Myśl obejścia flankowego była sama w sobie dobra, ale nasze możliwości nie były wystarczające do jej wykonania.

Jeżeli wyobrazimy sobie pozycję mocarstw centralnych podczas ostatniej wojny jako koło i wyrysujemy główne linie komunikacyjne obu stron, to jest wewnątrz koła i zewnątrz tegoż koła, z łatwością dojdziemy do wniosku, że jedynym frontem, na którym mogliśmy wówczas prowadzić operacje z zabezpieczonymi liniami komunikacyjnymi był front zachodni. Nasza taktyka na tym froncie była istotnie nieoględna w marnowaniu zasobów i ludzi, ale podstawowe rozumowanie Robertsona, że nasze linie komunikacyjne zmuszają nas do zrobienia największego wysiłku na froncie zachodnim, było, według mego przeświadczenia, słuszne.

Powracamy zatem do sprawy, którą poruszyłem na pierwszym wykładzie, to jest do znajomości mechanizmu wojny. Ona bowiem, a nie strategia odróżnia dobrego dowódcę od miernego.

Jakie należałoby wyciągnąć wnioski z tych kilku rozważań, jakie wspólnie przeprowadziliśmy?

Wymienność wzajemna dowódcy wojskowego i polityka-męża stanu skończyła się bezpowrotnie już w zeszłym wieku.

Niemcy doprowadzili rzemiosło wojenne do wybitnej specjalizacji. Przyczyniły się do tego wynalazki i postęp techniki. W znacznej mierze demokracje wytworzyły również typ zawodowego polityka. Nikt już dzisiaj nie może się kusić o odegranie obu ról, należących przecież do tej samej dziedziny rządzenia i prowadzenia ludzkich interesów. Jeśli idzie o nabycie doskonałości w swym zawodzie polityk znajduje się w lepszym położeniu niż wojskowy. On się zawsze znajduje "w polu," podczas gdy wojskowy podczas pokoju ma niewiele okazji doskonalenia się w warunkach nie sztucznych, ale autentycznych. Wojskowy podczas pokoju może być porównany do kogoś pragnącego zostać mistrzem w polowaniu na lisa przez zaprawę i trening w ujeżdżalni za elektrycznym zającem i tylko rzadkie wyjazdy /jak wojsko na manewry/ w teren.

Umysł polityka, który ma za zadanie przekonywać lub krytykować, musi być stale otwarty i giętki, zawsze przygotowany na niespodziewany argument lub krytykę. Umysł wojskowego, który wydaje lub wykonuje rozkazy, ma dążność do sztywnienia i przywiązywania się do gotowych formułek.

Ale jak dojść do odpowiedniego poziomu? Jedyna droga, to studia nad przeszłością i jej przemyślenie, otwarty umysł na wszystko co współczesne, a skoro przyjdzie sposobność, cierpliwe zrozumienie wzajemnych trudności.

Wojskowy jest skłonny niedoceniać trudności piętrzących się przed politykiem. Przypominam sobie jak jeden z naszych mężów stanu cytował, jako przykład tego nastawienia, następujący wypadek. Chodziło o przeprowadzenie pewnej sprawy związanej, dajmy na to, z powszechną służbą wojskową. Wojskowy niecierpliwił się wielce z powodu powolności z jaką ta sprawa była załatwiana przez polityków.

Skoro uznajecie, że jest to konieczne, dla czego nie załatwić tego natychmiast?—zapytywał.

Na co polityk odpowiedział mu jak następuje:

—"Jeżeli masz przed sobą linię rzeki, bronionej przez nieprzyjaciela, którą wypada przekroczyć dla wykonania swego zadania, czy natychmiast przystępujesz do natarcia?

—"Oczywiście, że nie—odpowiedział wojskowy—nie mogę do tego przystąpić bez uprzedniego rozpoznania, przygotowania artyleryjskiego, starań o odwrócenie uwagi nieprzyjaciela od miejsca, gdzie ma nastąpić właściwe uderzenie, przygotowanie środków przewozowych lub mostu i t.d."

—"Otóż właśnie, odpowiedział polityk, ja również muszę przygotować opinię publiczną, przewidzieć obiekcje, w ten sposób sprawę przygotować, aby uwzględnić interesy wszystkich roczników, zająć się badaniem lekarskim poborowych, przewidzieć kto ma być zwolniony i na jakich warunkach, i t.d."

Kończę już trzeci i ostatni mój wykład. Nie miałem innego celu wygłaszając je, jak przekonać was, że dla zrozumienia historii wojen trzeba studiować je realnie, nie w oderwaniu od życia—wojna nie da się ująć w zasady, wykresy lub reguły.

Dowódca, zwłaszcza wyższy dowódca, który kieruje się w walce Regulaminem Służby Polowej wzbudza tyleż zaufania co lekarz, który szuka diagnozy w encyklopedii medycznej. I żaden system wychowawczy, żadna metoda selekcji i awansów, najgruntowniejsza znajomość wojskowych zagadnień nie są w stanie zapewnić, że dany dowódca będzie posiadał tę najbardziej podstawową cechę—ducha walki.

Jakiekolwiek popełnili oni błędy, jakiekolwiek i jak różnorodne były pomiędzy nimi różnice—wszyscy wielcy przywódcy Wielkiej Wojny: Clemenceau, Foch, Lloyd George, Haig mieli jedną cechę wspólną: niezwyciężonego ducha. I jeden z nich powiedział: "Żadna bitwa nie jest istotnie przegrana, dopóki dowodzący nie pogodził się z myślą o przegranej."

Starożytni Rzymianie wystawili pomnik jednemu ze swych wodzów, który wyratował Rzym w najczarniejszej godzinie, z następującym napisem: "nie zwątpił i nie stracił wiary w Rzeczpospolitą."

Chciałbym dodać jeszcze: bogobojni Grecy wystawiali ołtarze wszystkim znanym im bogom, a pomiędzy nimi był ołtarz poświęcony nieznanemu bogu. Cokolwiek byśmy myśleli lub mówili o wielkich wodzach, jakiekolwiek wystawilibyśmy ołtarze Hannibalowi lub Napoleonowi i Marlborough i innym, winniśmy poświęcić jeszcze ołtarz "nieznanemu dowódcy," to jest dowódcy kompanii, plutonu lub drużyny, który prowadził swoich żołnierzy, wytrwał na stanowisku i padł nieraz nikomu nieznany. On to właściwie i w ostatniej mierze wygrywa wojny.

Naród brytyjski był zawsze narodem wolnym i jest nim nadal. I o ile, dzięki Bogu, nie jesteśmy narodem militarystycznym, ta tradycja wolności daje podczas wojny naszym niższym dowódcom bezcenną zaletę inicjatywy.

Tak długo, jak ich inicjatywa nie jest zbyt skrępowana formalistycznymi przepisami i regulaminem, wierzę, że będziemy nadal wygrywać wojny—czasami wbrew lub pomimo najwyższych dowódców.

ARCHIBALD WAVELL

przekład *JANA MEYSZTOWICZA*

---

* Por. "O dobrym generale" druk. w nr. 46, "O stosunku dowódcy do wojska" druk. w nr. 49 "Polski Walczącej" z ub.r. Niniejszy odczyt zamyka cykl prelekcyj, wygłoszonych przez gen. Wavella w Uniwersytecie w Cambridge.

1/ Abraham Lincoln, Prezydent Stanów Zjednoczonych podczas Wojny Cywilnej /1861-1865/, był jej głównym leaderem i bohaterem /po stronie Stanów Północnych/, po Waszyngtonie, największy aż do Franklina Roosevelta, amerykański mąż stanu. Zginął zamordowany przez fanatycznego przeciwnika.

2/ Gen. Sir William Robertson szef Kwatery Głównej brytyjskiej podczas Wielkiej Wojny. Jedyna w swoim rodzaju kariera znana w armii brytyjskiej. Wstąpił do wojska jako prosty szeregowiec, po 10 latach dopiero został oficerem, poczem przez Wyższą Szkołę Wojenną doszedł do najwyższego, po naczelnym wodzu, stanowiska w armii. Odznaczył się podczas wojny burskiej.

ŚWIĘTY BOŻE

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny
Wybaw nas, Panie!

Wybaw nas Panie, wybaw od powietrza,
Które wróg zatruł wyziewami zbrodni,
By zaduch zbrodni z naszych pól wywietrzał,
Gdy się staniemy znowu Polski godni.
Święty Boże!

Głód pospolity powszedniego chleba
Znieść nam z Twej woli dla pokuty trzeba.
Lecz niech nas, Panie, Twoja moc zachowa
Od głodu Ziemi i od głodu Słowa.
Święty Mocny!

Niechaj uśmierzą Twoje święte dłonie
Ogień piekielny, którym wróg nas pali.
Lecz tego ognia, co nam w piersiach płonie,
Nie gaś, o Panie—a rozpalaj dalej.
Święty a Nieśmiertelny!

My, grzeszni Ciebie, Boga prosimy:
Zachowaj nas, Panie!

Od śmierci nagłej i niespodziewanej
Zachowaj, Panie, Braci naszych w Kraju,
Aby wytrwali mocni, nieskalani,
Aż do dnia sądu nad morderców zgrają.
Święty Boże!

Krew dawno zmyła grzechów naszych plamy,
Po całym świecie kładliśmy swe kości.
O zmiłowanie przeto nie wołamy,
Jeno czekamy Twej sprawiedliwości.
Święty Mocny!

Zbaw od powietrza i głodu i ognia,
Ale od wojny—nie zbawiaj nas Panie,
Dopóki stopa pielgrzymia żołnierza
Na karku pruskim zwycięska nie stanie.
Święty a Nieśmiertelny!

Święty Boże, Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny
Wysłuchaj nas Panie!

ADAM KOWALSKI

Reportaż z Brazylii

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

KILKA SŁÓW O EMIGRACJI

Na temat emigracji polskiej do Brazylii można by napisać wiele książek bardziej wzniosłych niż "Pan Balcer", bardziej tragicznych, niż "Na złamanie karku" i mniej tak głupich, a nawet zgoła durnych pod względem tematu i treści, i niechlujnych pod względem formy i stylu, jak . . . Nie bądźmy jednak niewyrozumiali dla ofiar: małp brazylijskich, oszałamiającego słońca brazylijskiego i własnych palców (przyzwyczajenie ssąco-bredzące z lat szczenięcych), tym bardziej, że szkoda by było na te "rewelacje" papieru i cennego miejsca w szanującej się "Polsce Walczącej".

Faktem jest, że emigracja polska w Brazylii zapisała się tutaj zgłoskami splecionymi z niewysłowionych cierpień fizycznych i moralnych, z tysiącznych chorób i zgonów (wymarły prawie wszystkie dzieci pierwszych emigrantów) i straszliwych trudów. O tym, co przecierpiał chłop polski w puszczy brazylijskiej może najwięcej powiedziała Konopnicka w swym natchnionym "Panu Balcerze." Chłop więc polski w Brazylii, który przetrzymał aklimatyzację i choroby, przełamał śmiertelną tęsknotę za krajem, i krwawym potem i nadludzkim trudem stworzył sobie taką lub inną egzystencję, mógłby być dumny, że jego godne najwyższego podziwu "wyczyny" (nie w jego jednak skromnym pojęciu), na które nie zdobyłby się nigdy żaden inteligent i żaden chłop innej narodowości, zostały uwiecznione w "Panu Balcerze" i we wdzięcznej pamięci tych, którzy będą mu mieli do zawdzięczenia łatwiejsze i wygodniejsze życie.

Stało się jednak i dzieje tak, że ten chłop polski i ci, którym wymościł drogę do łatwiejszego życia, nie znają "Pana Balcera". A że chłop polski nie lubił i nie lubi opowiadać o tym, co przeszedł, przecierpiał i zrobił w puszczy brazylijskiej, więc to jego bohaterstwo rozeszło mu się po kościach, i dziś mało kto (nawet ci, co wszystko mają mu do zawdzięczenia) zdaje sobie sprawę z nadludzkich czynów pierwszych kolonistów polskich w Brazylii.

Dzisiaj Brazylia jest inna, niż choćby przed ćwierćwieczem, gdy w Santa Catarinie ginęli koloniści polscy od strzał Botokudów. Już oddawna świeży emigrant polski nie jest zmuszony zaszywać się w dziewicze lasy. Dość jest dzisiaj mniej lub więcej "ucywilizowanej" ziemi w pobliżu miast i dróg kołowych i kolejowych. Dzisiaj Brazylia jest zupełnie inna, niż za czasów "Pana Balcera"; nie mniej jednak pozostały te same sposoby i poglądy polskie (co najmniej z przed półwieku) na sprawy kolonizacyjne w Paranie, w Rio Grande de Sul czy w Espirito Santo. Polscy bowiem spece kolonizacyjni (ci z łaski swojej) do ostatniej chwili wypychali nowych emigrantów w dziewicze puszcze, o setki kilometrów od kolei i miast, na straszliwe trudy, choroby i bardzo nędzne bytowanie, gdy tymczasem inne narodowości usadawiały się w pobliżu miast, gdzie w ciągu krótkiego czasu można było dojść do wcale znośnych warunków życia.

Błędy naszej polityki kolonizacyjnej (emigracyjnej) do dziś wołają o pomstę do nieba (Peru, Espirito Santo, Santa Rosa i Parana). Metody zaś skłaniania nowych emigrantów do opuszczenia kraju, oparte na kłamstwach i zwykłych oszustwach (Peru, Espirito Santo) winny były dawno znaleźć więcej niż zainteresowanie u władz sądowych. Dość powiedzieć, że kandydatowi na emigranta pokazywano fotografie pól uprawnych i pięknych budynków gospodarskich do nabycia w Brazylii, w rzeczywistości zupełnie tam nie istniejących.

Męczeństwo emigranta polskiego w Brazylii, właściwie należy dzisiaj do przeszłości. Pamięć tych czasów rozpływa się w mgle zapomnienia wśród co raz mniej licznych pierwszych emigrantów. Gdy po pewnym czasie znikną z areny życia ci ostatni "mohikanie" początków kolonizacji polskiej, pamięć tych niezwykłych skądinąd czasów trwać będzie jedynie w "Panu Balcerze", gdyż tutaj nowe pokolenie nie interesuje się tym, co zrobili ich ojcowie. Młodych pociąga błyskotliwa (tak łatwa tutaj dla nich) przyszłość, przeszłość zaś pozostawiają na własność i wyłączne zachowanie starym, śmiesznym ludziom.

Dziś kolonia polska, stanąwszy własnym wysiłkiem na nogach, rozgląda się za czymś większym, niż zawód rolnika czy robotnika, który był im tu przysądzony z góry. Dotąd wprawdzie przeszło 90% kolonii polskiej to koloniści (chłopi) i robotnicy. Dużo jednak znaków na ziemi Krzyża Południowego świadczy, że chłop i robotnik polski zaczynają w tempie przyśpieszonym wydawać ze siebie inteligencję: doktorów, adwokatów, inżynierów, dentystów i tp. Jeszcze dziesięć lat temu taka Kurytyba miała jednego tylko adwokata, i ani jednego doktora czy dentysty, tu dyplomowanego. Dziś liczy ich kilkunastu, a za nowe dziesięć lat . . . .

W tym nieco przydługim rozdziale rzuciłem kilka gorzkich uwag pod adresem "kolonizatorów" polskich. Trudno byłoby na ten tragiczny i bolesny temat nic nie napisać. Pominąć go bez słowa krytyki byłoby nieuczciwie. Błędy kolonizacji, znane tutaj niemal każdemu z nas, nie mogą być puszczone w niepamięć, jak nie mogą być rzucone w zapomnienie żadne błędy. Tyle przecierpieliśmy naskutek zapominania o błędach przeszłości, że najwyższy czas nauczyć się tych błędów na pamięć, by nigdy więcej nie mogły się powtórzyć.

ILU NAS JEST W BRAZYLII

Jakkolwiek na temat "liczności" kolonii polskiej w Brazylii czynniki oficjalne poczuwały się do obowiązku ostatecznego i decydującego wypowiadania się, to należy z góry zaznaczyć, że oficjalne dane statystyczne(?), z powodu zrozumiałego tylko tym czynnikom, były zawsze wyolbrzymiane. I tak kolonię polską w Paranie obliczano na 200 tysięcy osób. Ogólną liczbę Polaków w Brazylii podawano na przeszło 300 tysięcy.

Jak jednak stwierdzono (lata 1937 i początek 1938) na podstawie pewnych obliczeń, dane oficjalne były najzupełniej przypadkowe i raczej obliczone na efekt.

W rzeczywistości należy przypuszczać, że ogółem kolonia polska w Brazylii liczy co najmniej 200 tysięcy głów, z czego dużo więcej niż połowę osób urodzonych w Brazylii czyli według praw miejscowych—rodowitych Brazylian. Według wyżej wymienionych obliczeń Parana liczyła przeszło 80 tysięcy osób, Rio Grande de Sul przeszło 70 tysięcy, Santa Catarina około 30 tysięcy, reszta rozrzucona była w północnych stanach Brazylii, z przewagą w stanie a właściwie w mieście São Paulo.

Według ostatnich (oficjalnych) danych brazylijskich kolonia polska w Paranie liczy około 48 tysięcy głów (obywateli polskich). Trudno jednak byłoby stwierdzić, jak dalece te dane są zgodne z rzeczywistością. W każdym bądź razie obywateli polskich, w znaczeniu praw brazylijskich, kolonia polska w całej Brazylii napewno nie liczy 100 tysięcy osób, z czego najwięcej przypada na osoby starsze, względnie na emigrację powojenną. Ten nienaturalny na pierwszy rzut oka stosunek obywateli polskich do osób pochodzenia polskiego tłumaczy się ogromną śmiertelnością pierwszych emigrantów (wymarły prawie wszystkie dzieci zrodzone w Polsce—obywatele polscy) i faktem uznania dzieci Polaków (jak i innych narodowości), zrodzonych tutaj, za Brazylian.

WARTOŚĆ SPOŁECZNA KOLONII POLSKIEJ

Jak już wyżej zaznaczyłem, przeszło 90% kolonii polskiej to chłopi i robotnicy, z czego co najmniej 80% to koloniści (chłopi). Inteligencji europejskiej (z Polski) i rodzimej (zrodzonej i wytworzonej w Brazylii) jest tutaj nieproporcjonalnie mało, jak już jednak zaznaczyłem widoki na rozrost inteligencji są w ostatnich czasach znaczne. W początkach jednak polskiej emigracji do Brazylii inteligencja polska (europejska) nie liczyła tutaj bodaj nawet 2% ogółu kolonii polskiej. Rozmyślnie podkreślam ten stosunek inteligencji emigranckiej do chłopów i robotników, w celu wykazania niezwykłego zjawiska—imponującej wprost rozbudowy społeczności polskiej w Brazylii, wzniesionej sękatymi rękami (przede wszystkim) chłopa i robotnika, wbrew temu wszystkiemu, co oddawna mówiło się na temat antyspołeczności tych dwu stanów.

Nie chcąc rzucać darmo słów, podam szereg cyfr. Kolonia polska w Brazylii do roku 1938 zorganizowała i utrzymywała: około 340 szkół i przeszło 500 różnego rodzaju towarzystw, z czego około 15 szkół i 30 towarzystw przypadało na większe i mniejsze ośrodki miejskie, reszta na kolonie (wieś). Z tego zestawienia wynika, że olbrzymia większość budynków szkolnych i towarzyskich została wzniesiona przez kolonistów (chłopów); jeśli do tego dodamy, że szkoły polskie na kolonii były przeważnie samowystarczalne, czego nie można było powiedzieć o szkołach w miastach, możemy sobie wyobrazić wartość społeczną chłopa polskiego w Brazylii. Roczne wydatki kolonii polskiej tylko na szkolnictwo (pensje nauczycielskie) wynosiły 350 tysięcy milrejsów (nie licząc wydatków na konserwację budynków szkolnych, towarzyskich i tp. z czego najwyżej 10% przypadało na ośrodki miejskie.

Większość tych towarzystw wzniósł chłop i robotnik polski jeszcze na długo przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Później, gdy powstała Polska, jeden i drugi tym chętniej budował szkoły i towarzystwa, choć teraz wszystkie zasługi za te i poprzednie prace brali chętnie i z własnej inicjatywy na swe barki różni karierowicze nadsyłani z kraju, przypisując sobie w wydawnictwach oficjalnych i raportach wszystko, co tylko tutaj kolonia polska zbudowała. Kolonista polski o tym długo nie wiedział, zbyt miał czyste serce, by podejrzewać braci z kraju o brudne interesy, robione na jego przywiązaniu do polskości, która tym panom służyła jedynie za odskocznię do dalszej kariery i zaszczytów. Dopiero Kurytyba zwróciła uwagę na te nieczyste machinacje.

W rezultacie rozpoczęła się walka z przyjezdnymi karierowiczami. W zamieszaniu kolonia polska, naskutek zręcznych intryg różnych karierowiczów, podzieliła się na obozy, zwalczające się z dużym temperamentem i niemałymi szkodami dla obu stron. Rozbicie kolonii polskiej, podsycane zręcznie i bez skrupułów, powiększało się w zastraszający sposób z roku na rok. Niespodzianie w czasie największych zapasów spadła, jak grom, nacjonalizacja. W ciągu krótkiego czasu zamknięto wszystkie szkoły polskie; z towarzystw i organisacyj polskich uratowały się: jedno w São Paulo, jedno w Porto Alegre i jedno w Rio de Janeiro.

Dziś pozostało tylko smętne wspomnienie po wspaniale zorganizowanym i rozbudowanym polskim życiu oświatowo-społecznym w Brazylii.

STOSUNEK DO KRAJU

Miałem nieraz sposobność rozmawiać ze starymi kolonistami o Polsce, opuszczonej przez niejednego z nich przed kilkudziesięciu laty. Zawsze przy tym zdumiewała mnie niezwykła świeżość ich wrażliwości na wspomnienia o kraju. Wywołać u nich opowiadaniem o Polsce łzy było bardzo łatwo. Ludzie ci mieli zdumiewającą wprost pamięć rzeczy i miejscowości. Długo i z przejęciem mogli opowiadać najdrobniejsze szczegóły o wsi rodzinnej, najbliższej okolicy, drzewach, krzach, roślinach i owocach, zapachach i barwach. Byłem zdumiony ścisłością ich pamięci, czego nie mógłbym powiedzieć o niejednym inteligencie, który opuścił Polskę dużo później po nich.

Ta szczególna pamięć chłopska ma wprawdzie swe uzasadnienie w prostocie życia kolonisty polskiego, i co za tym idzie ograniczonej sposobności wchłaniania większej ilości wrażeń (zabijających wspomnienia z kraju), co pozwala na wspaniałe zachowywanie ich w zupełnej świeżości. Tym też sobie tłumaczę, że chłop polski, który dostał się z polskiej wsi na zupełnie polską kolonię, potrafił lepiej i dłużej zachować w duszy i sercu nieraz stuprocentową polskość, stwarzając wkoło siebie życie na obraz starokrajski (dom, sprzęty wóz, ubiory, zwyczaje, obyczaje, uprawa roli i tp.). Dopiero pod przemożnym wpływem klimatu i przymusem odrębnych warunków życia zmienił się nieznacznie na zewnątrz zachowując jednak w sobie w wielu wypadkach duszę najzupełniej polską.

Nie można tego powiedzieć o robotniku, rzemieślniku a nawet inteligencie polskim w mieście, którzy pod wpływem odmiennych warunków życia i konieczności przystosowania się do niego, dość często i łatwo wynaradawiali się nieraz zupełnie, zapominając i gubiąc na karuzeli życia całą polskość.

Na ogół jednak kolonia polska w Brazylii od chwili swego powstania z godnym podziwu pietyzmem starała się tutaj zbudować życie polskie w całej okazałości, nadając mu cechy wybitnie narodowe. Więc wszystkie tutaj towarzystwa nosiły nazwy bohaterów lub zasłużonych mężów polskich, więc obchodziło się tutaj wszystkie święta narodowe z ogromną powagą, przejęciem i niezmiernie uroczyście; więc każdego nowego rodaka przyjmowano tu z otwartymi ramionami; więc marzyło się tutaj gorąco, uparcie i z niezachwianą wiarą o zmartwychwstaniu Polski.

Wybuch wojny w 1914 r. ogarnął kolonię polską w Brazylii gorączkowymi nastrojami. Idą stąd ochotnicy, płynie pomoc pieniężna i rzeczowa. Po odzyskaniu niepodległości nie szczędzi się tutaj krajowi pożyczek. Wreszcie z niezwykłą pompą przyjmuje kolonia polska w Paranie pierwszego przedstawiciela odrodzonego kraju. Serca wówczas przepełniał nadmiar szczęścia i radości, zapału i uniesienia. Na ten rozfalowany najwznioślejszymi uczuciami grunt pada niespodzianie twardy i ostry głos pierwszego wysłannika kraju, zapowiadający, że teraz "psim obowiązkiem" kolonii polskiej będzie słuchać jego i jego wszystkich następców. . .

Autentyczne to i niewątpliwie nad wyraz głupie wystąpienie biurokraty, mianowanego lekkomyślnie przedstawicielem kraju, po raz pierwszy zwarzyło gorące uczucia tutejszego wychodźstwa polskiego i mimo woli narzuciło mu podejrzenie, że ci nowi ludzie z Polski są inni, niż oni. Ta "inność", ta odmienność nowych ludzi z kraju uwidaczniała się z roku na rok.

Doszło do tego, że kolonia polska w Brazylii poczęła dzielić się na "my" i "wy," czego najzupełniej nie starały się zmienić (przeciwnie jeszcze pogłębiały) czynniki powołane do scalania kolonii polskiej. Ten niezdrowy i niepożądany stosunek do nowych ludzi z kraju (mówiąc otwarcie, przeważnie złych i szkodliwych) począł podważać zaufanie do czynników, które tych ludzi tu kierowały. Z czasem powstała tu stała opozycja do polskich placówek konsularnych i polityki przez nie stosowanej.

Dzisiaj trudno by mi było powiedzieć, i by przy tym nie skłamać, że kolonia polska w Brazylii tworzy zwartą całość, że jest jedną kochającą się rodziną. Trudno też by mi było powiedzieć, że istniejące tu rozbicie jest winą wyłącznie tylko kolonii polskiej.

Te, wciąż tutaj żywe i pokutujące błędy winny być wreszcie wymazane. Nie widzę jednak najzupełniej, by w tym kierunku podjęto jakiekolwiek kroki. Czas najwyższy, by głośna dziś "sprawiedliwość" i nowy porządek zapanowały wszędzie a więc i na zagranicznych terenach, by nie pozostały wyświechtanymi frazesami. Niech jednak zmiany na lepsze nastąpią dyskretnie, bez konieczności pokazywania palcem i głośnego wykrzykiwania, co w tym kierunku należy zrobić.

OFIARNOŚĆ KOLONII POLSKIEJ

Kolonia polska w Brazylii w ofiarności swej na cele polskości przerosła wszystko, co na ten temat można by powiedzieć. Wzniosła bowiem setki budynków szkolnych i towarzyskich, poświęconych niczemu innemu jak kultywowaniu polskości, płaciła za kultywowanie tej polskości nauczycielom pensje, budowała liczne kościoły, by w nich słyszeć słowo polskie. W czasie wojny europejskiej dała ochotników, dawała pieniądze, dała wreszcie pożyczkę. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nigdy nie odmówiła żadnej zbiórce. Ostatnio, w ciągu dwóch lat, dała na F.O.N. i na pomoc ofiarom wojny w Polsce co najmniej *milion milrejsów* w gotówce, rzeczach i żywności.

Wprawdzie ostatnio ofiarność kolonii polskiej nieco zmalała. Składa się na to kilka przyczyn, między innymi brak odpowiedniej na miejscu propagandy (nie ma tu ani jednego polskiego pisma, ostatnio zamknięto nawet "Gazetę Polską," mimo że wychodziła w języku portugalskim).

Mimo jednak tych przeszkód stale wpływają ofiary, szczególnie na jeńców polskich w Niemczech (są wypadki ofiarowania stałych składek miesięcznych w wysokości 20% ogólnego zarobku ofiarodawcy) i płyną też stąd morzami nasi ochotnicy.

OBECNE NASTROJE KOLONII

Wypadki wrześniowe wstrząsnęły kolonią polską do samej głębi duszy. Klęski, po bohaterskich walkach na polach bitew uderzyły w wychodźstwo, jak piorun z jasnego nieba. Bo przecież któż tutaj (karmiony "ultra-propagandą" o naszej niezwyciężoności, o nieoddaniu nawet guzika od płaszcza) mógł chociaż by przypuszczać, że właśnie stanie się tak i tak prędko. Zwłaszcza słysząc tutaj od różnych oficjalnych głuptasów, że w razie wojny z Niemcami zabierzemy Prusy Wschodnie w dwa dni a trzeciego dnia podyktujemy pokój Niemcom w . . . Berlinie, że tego wszystkiego dokonamy przy pomocy Rosji, z którą nie omieszkamy sprzymierzyć się w ostatniej chwili. W razie wojny z Rosją (według tej samej recepty), po uprzednim zawarciu przymierza z Niemcami, mieliśmy ją pobić równie błyskawicznie.

Jakże więc gorzka była nieprzeczuwana nawet rzeczywistość! I jakże wspaniale na tym żałosnym tle rozkwitało bohaterstwo żołnierza, Warszawy, Westerplatte, Helu . . .

Wojsko polskie we Francji, jak ongiś legiony Dąbrowskiego, porywa nadzieje wychodźstwa do nowego lotu. Upadek Francji jest ciosem niemal śmiertelnym. Więc pobladłymi usty mówi się, że teraz będzie trudniej, dużo trudniej, że trzeba będzie cierpliwie czekać . . . Bóg wie, jak długo?

Nikt jednak nie stracił nadziei! Reorganizacja wojska polskiego w Anglii uskrzydla na nowo nadzieje. Bohaterstwo lotników polskich w walkach powietrznych nad Anglią wstrząsa wychodźstwem polskim, jak niegdyś upadającym na duchu narodem polskim wstrząsnął mazurek Dąbrowskiego.

Najwyższe współczucie dla braci w Polsce, miłość do wojska polskiego w Anglii, szczególnie do naszych bohaterskich lotników, i wiara w zwycięstwo wypełniają bez reszty serca kolonii polskiej.

I wielu marzy o tym, by stanąć ramię w ramię przy tych, którzy już są w Anglii. Mogą o nich powiedzieć ci, którzy już stąd ruszyli.

Czas mija. Serca jednak kolonii polskiej w Brazylii biją tętnem jednakowym z wszystkimi sercami polskimi, rozsianymi po całym świecie, i są gotowe do ofiar i poświęceń.

DZIM ROSKI

Żądło "Genowefy"



rysował Artur Horowicz

Pierwsza moja wyprawa bombowa bardzo mnie onieśmielała. Mieliśmy lecieć na Boulogne, zaledwie 420 mil w obie strony, z czego tylko 100 mil nad Kanałem i francuskim brzegiem. Ale po raz pierwszy w życiu nie ja miałem trzymać stery samolotu; po raz pierwszy miałem go bronić ogniem karabinów, umieszczonych daleko w tyle, na samym końcu ogona, w ruchomej wieżyczce. A w dodatku Zygmunt po odprawie zachowywał się tak, jakby szukał trzech do bridge'a, zamiast wziąć się do opracowania trasy, i to mnie denerwowało najbardziej.

Nawigatorzy pozostałych pięciu samolotów ślęczeli nad mapami, kreślili, obliczali, kombinowali. On—najpierw łaził między długimi stołami sali nawigacyjnej, przystając i gadając z tym i owym; potem czytał gazetę; potem drzemał przy kominku, a wreszcie zaczął się informować, jak po niemiecku jest: bandyta, świnia, złodziej, alfons i podlec. Dopiero uzyskawszy te wiadomości, na marginesie gazety zanotował parę cyfr, zajrzał komuś przez ramię do mapy i oświadczył, że już jest gotów.

Właśnie się ciemno zrobiło, więc—otrzymawszy na drogę torebki z suszonymi owocami i czekoladą—pojechaliśmy na lotnisko.

"Genowefa" stała rozkraczona zaraz pierwsza z brzegu, widać, że w poważnym stanie, bo z brzuchem ciężkim od bomb, nisko nad ziemią. Talaga wylazł z gondoli i przysiadł na pękatym pneumatyku koła. Raz po raz spoglądał to na nas, to na start, gdzie rozstawiono ostatnie światła. Potem, gdyśmy zaczęli wchodzić po stopniach do wnętrza maszyny, wstał i podszedł blisko. Zdaje się, że był bardzo podniecony; chciał coś powiedzieć i jakoś nie umiał. Wyciągał rękę, żeby pomóc nam wejść, żeby podtrzymać, i cofał ją w pół drogi: nie trzeba? . . .

Mnie ścisnął za ramię nad łokciem. Wtedy poczułem, jak mu drży mocna, sękata dłoń i zobaczyłem w mroku jego zatroskaną twarz. Zatrzymałem się na chwilę i spojrzałem mu w oczy. Puścił mnie natychmiast:

—W porządku, panie kapitanie, w porządku.

Oparłem się na jego szerokich barach i dałem nura do kabiny. Zobaczyłem jeszcze jasną plamę jego twarzy przez kwadratowy otwór wejściowy; potem ktoś usunął schodki i klapa szczęknęła, oddzielając nas na cztery godziny od zewnętrznego świata.

Jeszcze nie dotarłem do mego stanowiska, zaczepiając co chwila o występy kadłuba, o żebra, złącza i wręgi, kiedy lewy silnik zakrztusił się, sapnął, zagdakał i ruszył, a zaraz za nim warknął prawy i już wspólnie rozdygotały dreszczem rezonansów całą gondolę.

Poskładałem się jak scyzoryk w mojej wieżyczce, włączyłem słuchawki i mikrofon, namacałem koniec przewodu tlenowego i usłyszałem wezwanie na start.

Ruszyliśmy z chrobotem i bębnieniem płozy, z cmokaniem i dobijaniem amortyzatorów, jakby "Genowefa" była w ostatnim stadium reumatyzmu, który siedział we wszystkich jej stawach. Góral wykręcał w prawo na lewym silniku, poczem pociągnął obydwoma i wtedy przez szyby zobaczyłem rozpływające się w ciemności sylwetki mechaników. Każdy z nich wznosił wysoko odgięte kciuki obu rąk:

—*Good luck*!

Przewinął się rząd lamp startowych, błysnęły ostrzegawczo czerwone światełka na dachu hangaru, jakiś samochód mrugnął zezem reflektorów, zamigotał sygnał ręcznej latarki: zwrot do startu!

—Hallo, hallo, Genowefa . . .

Ostatnie zdania, zawsze te same przed odlotem, i znów:

—*Good luck*!

"Genowefa" wysila się, stęka, jęczy, wyje i drga. Ciemność rusza z miejsca i pędzi pode mną, nade mną, po bokach. Odsadza się i przypada bliżej, goni i zostaje w tyle, przysiada, cwałuje, bije falami i odpływa, aż wreszcie opada w dół odcinając—jak nożem—bolesny skowyt amortyzatorów.

Jesteśmy w powietrzu i po chwili kładziemy się w skręt: niebo, jasne jeszcze na zachodzie, przechyla się, jakby chciało zajrzeć do gondoli, ale "Genowefa" zamiata ogonem (i mną) po horyzoncie i już się podnosi z wirażu.

—Odchodzimy na kurs do celu—melduje Merkury, poczem zapada długie milczenie.

To milczenie jest dla mnie szczególnie dziwne: jako pilot rozmawiałem ciągle. Nie z ludźmi wprawdzie, ale zawsze była to rozmowa. Z zegarami w tablicy rozdzielczej, z silnikiem, z busolą, z mapą. Pilot, radiotelegrafista, nawigator i przedni strzelec mają z kim rozmawiać i mają temat. Strzelec tylny—nie, albo bardzo rzadko, zwłaszcza w locie do celu. Bo tamci widzą, co się dzieje w tej stronie dokąd lecimy, a radiotelegrafistę łączy z ziemią fala jego stacji. Natomiast strzelec tylny *stoi na warcie;* tylko pilnuje. Przytem jest sam, daleko od reszty załogi i jedynie w chwilach ataku z powietrza staje się niezbędny, zaś tylko bezpośrednio po bombardowaniu ma coś do powiedzenia: melduje o jego skutkach.

Pilot myśliwski jest głównym elementem latającego zespołu, jaki tworzy wraz z samolotem. Silnik, skrzydła, stery, karabiny i działka, to są jego organy, których używa, którymi się posługuje. To *on* kładzie się w skręt, mierząc jednym *swoim* skrzydłem w ziemię, a drugim w zenit nieba. To *on* przewija się w beczce i przeciąga się w pętli. To *on* spada w dół, *on* wkręca się w korkociąg, *on* tryska świecą w górę.

Natomiast ja—tylny strzelec? . . .

Mnie wydaje się teraz, że należę do organizmu tego Wellington'a—potężnej bestii latającej. Jej mózg—to nawigator. Ośrodek nerwowy, koordynujący ruchy—to pilot. Radiotelegrafista—słuch. Przedni strzelec—wzrok. Ja zaś—żądło; organ obrony przed napaścią innych, podobnych potworów powietrznych. . . .

Nie, nie czuję się już samoistną, oddzielną jednostką: jestem *częścią składową*. Jestem *narządem*, tak właśnie, jak żądło jest narządem pszczoły. To nie ja lecę na bojowe zadanie, lecz "Genowefa"; "Genowefa," która, między innymi, składa się także i ze mnie.

To uczucie jest dziwne i zupełnie nowe; jakieś nieludzkie. Przeciwne naturze. Mojej naturze; naturze *pilota*. Po raz ostatni—w Polsce—ja miałem samolot. Teraz Wellington "Genowefa" ma mnie—tylnego strzelca. On jest całością; ja—tylko jego fragmentem, bynajmniej nie najważniejszym; koniecznym tylko czasami. . . .

Pewnie można do tego przywyknąć. Nawet można tego wszystkiego nie dostrzec. Góral na przykład mówi:

—Ta nasza poczciwa "Genowefa"—i traktuje gada, jak domowe oswojone bydlę, które wozi całą załogę, bomby i jego, Górala, nad cel, posłuszne woli pilota.

Ale ja w tym pierwszym bojowym locie nie mogę tak myśleć o "Genowefie." Dla mnie żyje ona swoim oddzielnym życiem, tak jak i inne, jej podobne. I to nie my lecimy na niej bombardować Boulogne, tylko ona tam leci, posługując się nami: swoim mózgiem, nerwami, słuchem, wzrokiem i—żądłem. . . .

Od czasu do czasu słyszę, jak Zygmunt wymienia nazwy mijanych w głębokiej ciemności, niewidzialnych miast.

Nieco później Bujak—oko "Genowefy"—mówi, jakby mówił wprost do niej:

—Wchodzimy nad Kanał. Pod nami morze.

A po chwili Wellington przypomina sobie o mnie i pyta głosem Górala:

—Herbert, nie śpisz?

—Nie śpię—odpowiadam przez ściśnięte gardło, doznając takiego uczucia, jakiego powinna doświadczać moja zdrętwiała noga, gdy się o nią zatroszczę.

—Może byś przestrzelał swoje spluwaczki?—proponuje dobrotliwie latający potwór.

Proponuje, czy—myśli? Po prostu: chce! A ja ulegam jego woli. Wykonuję funkcję jego organizmu; po prostu: funkcjonuję. . . .

Krótki, suchy werbel serii—to mój głos; drganie zdwojonych karabinów maszynowych i półobroty wieżyczki: w lewo, w prawo—to mój ruch; smugi pocisków, miotanych w przestrzeń—to moje działanie. Działanie żądła. . . .

Lecz—co to?! Jakiś cień, czarniejszy niż noc, zamajaczył powyżej mnie, trochę w lewo . . . Rozpłynął się i zamajaczył znowu na wprost, za ogonem Genowefy. . . .

—Jest, czy nie ma go tam? . . .

—Jest! Zbliża się!! Rośnie!!!

Zupełnie mechanicznie (czy może: zupełnie instynktownie?) podnoszę sprzężone lufy kaemów na jego wysokość i w tej samej chwili widzę cztery ogniste języczki wyskakujące jakby z pyszczków czterech jaszczurek ustawionych rzędem przede mną.

—Poprawka?—Niepotrzebna!

Naciskam spust, prowadzę za cieniem, za ogniem: sekunda—dwie—trzy . . . Jaszczurki zamknęły pyszczki, cień rozpłynął się, znikł.

—Co tam?—pyta Góral.—Myśliwiec?

—Chyba—mówię ochrypłym głosem.

—No i co?

—Odskoczył po pierwszej serii.

—Jak zwykle—konkluduje Zygmunt, nie wiem: z udanym, czy szczerym znudzeniem.

I znów długie milczenie. Znów spokojny, równy warkot silnika. Tylko ja—żądło samolotu, jego organ obronny—jeszcze drżę wzruszeniem. Czy nie tak właśnie, jak drży żądło skorpiona, lub osy? . . .

Ktoś melduje zużycie paliwa, a potem Merkury oznajmia:

—15.000 stóp.

—Brzeg!—woła głośno Bujak z przedniej wieżyczki.—Brzeg!—aż w słuchawkach dzwoni.

Potem—fakty idą jedne po drugich z taką szybkością, jakby chciały wynagrodzić sobie długie godziny oczekiwania na to, że się miały stać; na tę chwilę. W której się dzieją.

Kurs bojowy, skręt, poprawka:

—Jeszcze pięć stopni w prawo. Tak jak teraz, dobra.

Warkot silników milknie, pęd gwiżdże przy burtach.

—Ani jednego reflektora—mówi Bujak.

Artyleria milczy, więc to może strefa myśliwców?

—Zaraz będzie basen numer 3—odzywa się Zygmunt, leżąc na pokładzie z nosem rozpłaszczonym na przezierniku.

Patrzę w dół: lecimy, zdaje się, równolegle do brzegu. Gdzie on widzi jakiś basen?!

Aha: widać coś jakby port. Teraz—niewyraźne, wrzecionowate kształty, jakby ziarnka zboża. . . .

Ależ tak, to są barki i statki, które Niemcy przygotowują na inwazję. . . .

—Uwaga—stęka Zygmunt.

Zatrzymuję oddech.

—Bomby!

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć . . . Dlaczego nic nie słychać?!

Sześć . . . siedem. . . .

—Są!

Duch Zniszczenia przebiegł po ziemi i wodzie! Gdzie stąpił—buchnęło blaskiem, ogniem, dymem! A potem noc jęknęła odgłosem wybuchów i—rozszalała się artyleria.

Podmuchy jej pocisków dosięgły skrzydeł maszyny: wzdrygnęła się raz po raz, poderwała się w górę, przepadła, gibnęła się na skrzydło i sunie dalej milcząco nad co raz jaśniejszymi pożarami, które odbija czarna, polśniewająca woda u stóp kratownic doków i między stłoczonymi barkami.

Wtem ktoś zaczyna mówić po niemiecku. Mówić?—Nie: raczej wymyślać. Potok słów popłynął wartko przez słuchawki, zmieszał się, zmącił, nabrzmiał pasją i runął wodospadem przekleństw.

Byłem tak zaskoczony tą iście piekielną niemiecką litanią, że z początku wydało mi się, jakby ją nam posyłała okupowana przez Niemców francuska ziemia razem z ogniem działowym. Ale później do przekleństw niemieckich dołączyły się równie soczyste polskie i francuskie, a wreszcie dyszący wściekłością głos oznajmił:

—Żebyście, dranie, wiedzieli, że te bomby rzucili Polacy i—niech was jasna cholera wszystkich co do jednego wytłucze!

Odwracam głowę—spoglądam ku przodowi gondoli. To Zygmunt anonsuje nas niemieckiemu garnizonowi portu, a Koza, włączywszy radiostację na nadawanie, patrzy w niego jak w tęczę. Chce mi się śmiać, krzyczeć, skakać i—wymyślać także. Ale w tej chwili słyszę głos Bujaka:

—Panie kapitanie, reflektory!

Odwracam się gwałtownie, wyrżnąłem o coś brodą, chwytam tylce kaemów. Z dołu skośnie przebiły mrok dwa skrzyżowane groty białego światła. Podsadzam się wygodniej, wykręcam wieżyczkę bardziej w lewo. . . .

Jest jeden: blask lśni na lufach, oczy bolą. . . .

Grzeję—nic.

Druga, trzecia seria—nic.

—Za mała poprawka—przelatuje mi przez głowę.

Zakładam więcej, walę, nabrawszy pełne płuca tchu i trzymam, trzymam. . . .

—Zgasł—krzyczy Zygmunt.

Istotnie, zgasł. Ale—mogłem go nie trafić. Tego się, niestety, nigdy na pewno nie wie. . . .

Tymczasem silniki zaczynają mruczeć i pożary przez nas wzniecone oddalają się zwolna. Patrzę na nie ciągle ostygając z emocji, w miarę jak zbliżamy się do angielskiego brzegu.

Po dwudziestu pięciu minutach mijamy Dover. Nad Boulogne ciągle widać łunę, a "Genowefa" rży z uciechy obu silnikami—piekielnica.

Spoglądam na zegarek: dochodzi północ. Między chmurami, pod którymi nas niesie w podmuchach wiatru, przebłyskują gwiazdy. Zdaje się, że deszcz pada.

W gondoli—zimno. Włazi za kołnierz i pełznie po grzbiecie i po ramionach w dół. A jednocześnie marzną stopy i ręce. Żeby prędzej było lotnisko! . . .

Ale droga powrotna dłuży się bardziej, niż droga do celu; w dodatku wiatr mamy północno-zachodni. Góral znów pyta co chwila, czy nie śpimy, ja i Bujak. Chce mi się spać istotnie i pewnie bym zasnął, gdyby nie wewnętrzna wibracja nerwowa po tych pierwszych od tak dawna wzruszeniach nocnego lotu na bojowe zadanie.

Mija znów pół godziny i wreszcie Zygmunt mówi:

—Zaraz będzie lotnisko.

—Nic nie widzę—powiada Bujak.

I zaraz potem:

—Lotnisko pod nami!

Rzeczywiście czarna otchłań mruga do nas świetlnym sygnałem porozumienia.

"Genowefa" zawraca łukiem o 270 stopni, wypuszcza łapy podwozia, otwiera klapy skrzydłowe i zaczyna tonąć. Na samym dnie ciemności zjawia się struga światła: to reflektor lotniskowy.

Siadamy z nieodzownym gruchotem całego pudła, jakby się dom walił, i kołujemy za mrugającą latarką, którą ktoś prowadzi nas na zwykłe miejsce postoju.

Z mroku wyłania się narożnik drewnianego baraku i znajomy strzępiasty świerczek tuż przy nim. Lewy silnik, prawy silnik, hamulce! Ogon "Genowefy" podskakuje na kretowiskach, zarzuca, staje. Zmęczone motory klekocą wolno, wolno, wreszcie milkną jeden po drugim i słyszę głos Talagi:

—Schodki! Żywo!

Wyłączam się z organizmu Wellingtona: odczepiam kabel słuchawek, odkładam na miejsce pępowinę przewodu tlenowego, zamocowuję kaemy. . . .

Wyłazimy, zziębnięci i weseli; ja na końcu, ze zdrętwiałymi nogami, jakby mi nalano wody sodowej do żył i mięśni. Widzę, jak Talaga liczy nas palcem i czuję, jak mnie dotyka.

—Zdrowi wszyscy, panie kapitanie?—pyta stłumionym głosem.

—Zdrowi, zdrowi. Wszystko dobrze—odpowiadam, podzwaniając melodyjnie zębami.

—A jak maszyna?

Góral odpowiada, że maszyna jak złoto, i widzę, jak gęby mechaników rozjaśnia uśmiech dumy i zadowolenia: to przecież ich zasługa!

Potem cała załoga otacza mnie i każdy się dopytuje, jak mi się podobało. Mówię coś w miarę do rzeczy i zaraz wszyscy razem zaczynają gadać o tym, co i jak było. Wreszcie zajeżdża autobus, siadamy i jedziemy na "spowiedź" do "inteligentnego."[1]

Gorące kakao, papieros i—spać!

PORUCZNIK HERBERT

1) *Intelligent's officer*, który przyjmuje szczegółowe ustne sprawozdania załogi z odbytego lotu.

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11.I.—31.I.1942.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 1	Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach: 106
	Główne cele: Bremen, Boulogne, Emden, Hamburg, Hanover, Monastyr.
Razem od czasu przybycia do Anglii do 31.I.1942.	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 421	Łączna ilość samolotów: 1716

Strzelec bombowca zestrzelił jednego Messerschmidta 110.

Wojna na morzu

SINGAPORE

Japończycy, po dwóch miesiącach walki na Półwyspie Malajskim, doszli do wyspy Singapore. To jest wiadomość, ważniejsza od wszystkich innych. Czy Singapore długo będzie się mogło bronić, gdy zostanie zaatakowane "od tyłu," gdy pierwotne plany obrony i budowa wszystkich prawie umocnień fortecy liczyły się z kierunkiem ataku . . . od strony morza? Oto pytanie najważniejsze i najbardziej niepokojące. Spodziewana lada dzień kontrofensywa od strony Burmy dotąd nie nastąpiła, plany generała Wavell'a i admirała Hart'a są dotąd nieprzeniknione.

KONWÓJ W CIEŚNINIE MACASSAR

Przeciwuderzenie natomiast nastąpiło w miejscu najmniej spodziewanym. Olbrzymi konwój japońskich wojsk wpłynął do cieśniny Macassar—pomiędzy wyspami Borneo i Celebes. Jest to najkrótsza droga z północy na Jawę i do drugiej co do znaczenia po Singapore bazy morskiej na Jawie: Surabaya. Okręty podwodne holenderskie, kontrtorpedowce i krążowniki U.S.A. oraz samoloty bombowe i torpedowe U.S.A. i holenderskie zaatakowały ów konwój japoński, liczący z górą 100 transportowców w eskorcie okrętu liniowego, lotniskowca, krążowników i większej ilości kontrtorpedowców.

Naloty torpedowe sprzymierzonych i ataki z pod i nad wody trwały prawie nieustannie dzień i noc przez 3 doby. W rezultacie /jak wiadomo do dnia 31 stycznia/ konwój "przylgnął" do wybrzeża Borneo w porcie Banjermassin i dalej na południe już się nie posuwa. Kosztem 3 samolotów strąconych przez ogień przeciwlotniczy okrętów japońskich, sprzymierzeni zatopili: 1 kontrtorpedowiec /przez holenderski okręt podwodny/, prawdopodobnie zatopili 1 lotniskowiec /okr. podwd. U.S.A./, silnie uszkodzili: ciężki krążownik /uszkodziły go samoloty holenderskie/, 5 lekkich krążowników /przez amerykańskie i holenderskie samoloty/, 1 średni krążownik /przez holenderski samolot/ i 1 kontrtorpedowiec /przez holenderski samolot/. Poza tym zatopiono: 3 transportowce /przez holenderskie i am. samoloty/ i 6 transportowców /przez okręty wojenne amerykańskie/.

Prawdopodobnie uległo jeszcze zatopieniu 6 statków przez amerykańskie i holenderskie samoloty i okręty wojenne, podczas gdy 9 ciężko uszkodzono. W następnych dniach nadeszły jeszcze raporty, że prócz ciężkiego krążownika zatonął Japończykom również i okręt liniowy, którego czubki masztów oraz część pomostu sterczą z ponad wody. Obliczane jest, że w cieśninie Macassar zginęło około 10,000 żołnierzy japońskich na transportowcach i około 5,000 marynarzy na okrętach wojennych.

STARCIE PRZY WYBRZEŻACH PÓŁWYSPU MALAJSKIEGO

Pierwsze starcie pomiędzy brytyjskimi i japońskimi okrętami nadwodnymi nastąpiło u wschodnich wybrzeży Malajów. Kontrtorpedowce brytyjskie H.M.S. "Vampire" /marynarka australijska/ i H.M.S. "Thanet" natknęły się podczas patrolu na japoński krążownik i kilka kontrtorpedowców. W krótkim starciu Japończycy stracili jeden z kontrtorpedowców /trafiony torpedą/, a brytyjski H.M.S. "Thanet" poszedł również na dno. Istnieje nadzieja, że z 98 członków załogi H.M.S. "Thanet" wielu zdołało dotrzeć do wybrzeża i zostało uratowanych przez łodzie. /Thanet—905 tonn pojemności, wybudowany w r. 1918/. Po starciu Japończycy ujrzawszy inne nadpływające okręty brytyjskie, wycofali się na północ.

H.M.S. BARHAM I H.M.S. GALATEA

W kotle śródziemnomorskim, gdzie Hitler zgromadził zdaje się większość swojej floty podwodnej Atlantyku, gwałtowne zatapianie wzajemne dotąd nie ustało. Anglicy ponieśli przy tym poważne straty w dużych okrętach. Trafiony wielką i bardzo celną torpedą, wypuszczoną z niemieckiego okrętu podwodnego, eksplodował i zatonął pod Sollum w przeciągu 4 i ½ minuty okręt liniowy H.M.S. "Barham" /31,000 tonn, 1124 załogi, 25 węzłów szybk., 8 dział 15 calowych artylerii głównej. Wybudowany w r. 1914, kilkakrotnie modernizowany/. H.M.S. Barham nosił banderę zastępcy dowódcy Floty Śródziemnomorskiej Vice-Admirała Sir Henry Pridham-Wippell.

Większość załogi okrętu liniowego zdołała się uratować, a między innymi również i admirał Pridham-Wippel. Dowódca "Barham'a" komandor G. C. Cooke i większość wyższych oficerów utonęli lub zostali zabici od razu przy wybuchu.

Admirał Sir Pridham-Wippel /56 lat/ już w wodzie oddał swój pas ratunkowy rannemu marynarzowi. Wyłowiony z wody, czarny od rozlanego oleju, zaintonował wesołą piosenkę na szalupie, podchwyconą przez innych. Gdy, usmolony, brudny i obdarty dostał się wreszcie na pokład kontrtorpedowca, bosman tego kontrtorpedowca, nie dostrzegając zasmolonych rękawów admiralskich, krzyknął nań ostro:

—Czego marudzisz? Marsz, umyć się, brudasie!

—*Well*, — odpowiedział admirał,—jest to jeden z najrozsądniejszych rozkazów, jakie otrzymałem w swym życiu.

H.M.S. "Barham" został storpedowany w listopadzie 1941 r. Ze względów strategicznych strata tego olbrzyma nie była przez Admiralicję wyjawiana, a Niemcy, nie będąc pewni swego sukcesu, naprożno starali się sprowokować Anglików do wyjawienia tajemnicy, ogłaszając kilkakrotnie przez radio wiadomość o zatopieniu "Barham."

W tym samym czasie Anglicy stracili na Morzu Śródziemnym krążownik H.M.S. "Galatea" /15,27/ tonn, 450 załogi, 32 węzły szyb., 6 dział 6 calowych artylerii zasadniczej, 6 wyrzutni torpedowych/.

KIJ MA DWA KOŃCE

Ale kij ma dwa końce i na Morzu Śródziemnym. Brytyjczycy i sprzymierzeni zatopili i zatapiają "osiowcom" nie mniejszą ilość okrętów i statków. W 24 godzinnym ataku lotnictwo brytyjskie /R.A.F. i samoloty Mar. Woj./ zatopiło wielki 20,000 tonnowy transportowiec włoski z wojskiem i poważnie uszkodziło okręt liniowy /Klasy "Cavour" ?/, krążownik i kontrtorpedowiec. Nie ma dnia, aby okręty podwodne sprzymierzonych i ich samoloty nie zatopiły jakiego transportu włoskiego lub niemieckiego. Trzeba podziwiać doprawdy, że w tych warunkach Rommel mógł jednak otrzymać pewne posiłki i rozpocząć nową kontrofensywę w Libii.

PRZYBYCIE AMERYKAN NA WYSPY ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA

Siły podwodne Niemiec nie są jednak tak bardzo wielkie obecnie, aby mogły prowadzić operacje podwodne na dwóch "frontach" na raz. Ataki podwodne na Atlantyku osłabły w sposób zastanawiający. "Doszło już do tego," że olbrzymi i bardzo ważny konwój wojsk amerykańskich dopłynął do wybrzeży Irlandii w największym spokoju, nie niepokojony podczas drogi nawet alarmem. Konwój ten nie tylko dowiózł wielotysięczne oddziały U.S.A. na Wyspy Brytyjskie, lecz równocześnie dowiózł jeden z największych transportów broni, sprzętu i amunicji, jaki kiedykolwiek w tej wojnie przekroczył Atlantyk.

NOWE OKRĘTY BRYTYJSKIE I AMERYKAŃSKIE

Maszyna produkcyjna U.S.A. i Wielkiej Brytanii idzie w tempie może jeszcze ciągle zbyt powolnym, ale już na tyle szybkim, że straty na morzu zaczynają się wyrównywać materiałem znacznie nowocześniejszym i silniejszym. Na miejsce nieszczęsnego "Prince of Wales" wszedł do służby jego rodzony "brat" "Duke of York," na którym Churchill po raz drugi przekroczył Atlantyk. Stocznie amerykańskie i brytyjskie pracują gorączkowo. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Amerykanie już zdołali wyrównać stratę okrętów liniowych "Oklahoma" i "Kanzas."

Wielkie bitwy morskie, starcia olbrzymów, wspomaganych przez lotnictwo i okręty mniejsze, jeszcze nadejdą. Będą to starcia potworów morskich, walka jaszczurów przedpotopowych.

Gdy dzień ten nadejdzie, skończy się seria powodzeń Japończyków, która, jak powiedzieli i Churchill i Roosevelt, "może trwać jeszcze przez czas dłuższy."

ŚWIĘTO POLSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ

10 lutego od 22 lat Marynarka Wojenna Polska obchodzi święto swoje. Na przypomnienie tego faktu i na jaknajgorętszą pamięć społeczeństwa polskiego w tym dniu zasłużyli sobie nasi marynarze w sposób najpiękniejszy i najskuteczniejszy. Jesteśmy z nich dumni i szczycimy się nimi.

Podczas objazdów poszczególnych okrętów skarżyli się jednak nasi chłopcy, że "mało się o nich pisze w stosunku do ich pracy, trudu i wysiłków" . . . Wydaje mi się, że żal ten jest słuszny. Rzeczywiście "mało się o nich pisze." "Polska Walcząca" jedyna, która jak tylko może przypomina Polakom, że mają swoją walczącą, i to dobrze walczącą, Marynarkę Wojenną.

Obok "Polski Walczącej" pismo morskie, wydawane sumptem ludzi zapalonych: "Polska na Morzach" . . . I . . . to wszystko! . . . Nasza zawodowa "elita literacka" woli się grzebać w "potępieńczych swarach" lub opisywać swoje przeżycia londyńskie, niż . . . wziąć się do służby dla polskiego marynarza, lotnika, żołnierza.

Londyn 1 lutego 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Pomoc dla Polaków w Rosji

Personel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych złożył z poborów lutowych na pomoc dla Polaków w Rosji kwotę £23. 10sh.

Redakcja Polski Walczącej, Londyn, W.C.2.

W załączeniu przesyłam British Money Order L.K.41790 na sumę £2 5sh. 9d. złożoną przez podoficerów i szereg. M.W. na rzecz Polaków w Rosji z prośbą o przekazanie wyżej wymienionej kwoty do P.C.K. w Londynie.

Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu

Redakcja "Polski Walczącej"

w myśl pięknego hasła wysuniętego przez p. W. Budzyńskiego załączam 5sh. na Fundusz "Polak Polakowi bratem" na konto "Pomoc dla Polaków w Rosji".

Will you kindly accept enclosed 5sh., being fee for medical examination which dr. W. S. Scade refused to take from me as I am a refugee—for Poles in Russia.

Zofia Kw-ska

Panowie Tunicki i Stefaniak złożyli na pomoc Rodakom w Rosji—£0.10.0.

Ponadto otrzymaliśmy na pomoc dla Polaków w Rosji od polskiego pilota 10sh. "zamiast jakiejkolwiek przyjemności na terenie angielskim", od kaprala F.S. 10sh., od podch. M.B. 5sh. "zamiast pójścia do kina," od. st. strz. K.L. 5sh., od p.J.Z. 10sh.—nieprzyjęte honorarium za artykuł w "Polsce Walczącej."

Łączna suma /wraz z udziałem p. Adama Ordęgi; por. "Skrzynkę pocztową/ w wysokości 32£. 10sh. została przekazana Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Bez black-outu

Darujecie mi napewno, Kochani Koledzy i cierpliwi Czytelnicy, że dzisiejsza rozmowa moja z Wami będzie tematycznie dość rozmaita. Będzie raczej kroniką, aniżeli rozważaniem określonego zagadnienia. Przyczyna bardzo prosta: czuję się swobodny . . . czuję wolność osobistą, wolność słowa i prasy, chcę Wam dużo dzisiaj opowiedzieć, czuję dostęp do wszelkich funkcyj państwowych, czuje się równy wobec prawa—innymi słowy jestem pod wrażeniem konfederacji polsko-czechosłowackiej.

Stąd więc, jeżeli moja wolność osobista dzisiaj ucierpi, albo moje wolne słowo przemienione zostanie w czerwoną kropkę nad "i" obywatela-cenzora, to będzie tylko wina dwóch państw skonfederowanych, które punktem 12-ym tego historycznego aktu dokonały przewrotu w mej głowie. Czuję się odurzony nadmiarem świeżego powietrza. Ten punkt 12-y, to na razie wprawdzie tylko skromna drukowana inhalacja, ale fakt istnienia tego punktu porusza myśl która zaczyna jaśniej patrzyć w przyszłość.

Równość . . . wolny dostęp . . . swoboda . . . kontrola rządów. Czytam po kilka razy, rozkoszuję się każdą literką. Ten historyczny punkt 12, to wyrok śmierci na polską protekcję, na człowieka "z plecami," to niesławna śmierć starych metod "trzymania za mordę," to koniec kultu niefachowości, to uroczysta gwarancja, że każda funkcja państwowa będzie w przyszłości dostępna nie tylko dla b. pułkownika, ale i dla b. podchorążego, b. sierżanta, b. szeregowca, których wola narodu czy specjalne uzdolniena i kwalifikacje powołają do odpowiedzialnej i trudnej służby.

Pierwsza to na emigracji wypowiedź w tej skali. Tak szeroka, tak ożywcza. Dlatego nie tyle ważny jest fragment z punktu 10-go ten "ruch osób pomiędzy państwami, należącymi do konfederacji," ile ruch naszych serc, ruch naszych myśli, ile konfederacja naszych uczuć, dokonana w tej chwili.

I jeszcze coś ważniejszego: akt z 23 stycznia to dowód, że nauczyliśmy się współpracy. To bardzo wiele, bo trzeba otwarcie przyznać, że do tej pory byliśmy rekordzistami psucia i zatruwania każdej współpracy. W tym samym tygodniu zaszły także na naszym froncie wewnętrznym poważne zmiany. Słuchaliśmy w Szkocji z pełnym szacunkiem radiowego przemówienia ministra Seydy. Oczywiście na sposób polski komentarzy wśród słuchaczy było co niemiara. Ale jedno pozostalo niezatarte i niekomentowane: radość w oczach, że mówi się o sprawach najbardziej zadrażnionych, nadzieja, że to początek naszej konfederacji wewnętrznej, pod którą zawsze podpisze się bez wahania żołnierz polski.

Potrzeba takich wrażeń, takich przebłysków jedności jest ogromna. Głód konfederacji wewnętrznej jest co raz powszechniejszy, dla tego apelujemy o więcej prawdy, o więcej prostych, szczerych słów: w prasie, na antenie, w przemówieniach oficjalnych i nieoficjalnych. Tym więcej, że żołnierz polski znajduje się w tej chwili pod obstrzałem nieodpowiedzialnych, często warcholskich cekaemów papierowych, pod ogniem ciężkiej artylerii intryg i miotaczy plotek, które kaleczą niekiedy dusze, a napewno ranią serce. Akt konfederacji wewnętrznej p o l s k o - p o l s k i e j z jakimś historycznym punktem 12 szczerym i odważnym wydaje się nieodzowny i bardzo pilny.

Nieprawdą jest, że żołnierz polski w czekaniu i "zbrojnym bezrobociu" zmarniał, zmiękł. Niezawodnie nie brak błędów, nawyków i wad, o których wiemy, mówimy i otwarcie piszemy. Ostatnie jednak manewry na wielką skalę, przeprowadzone w Szkocji, dały odpowiedź strategom kawiarnianym, którzy przy czarnej kawie odprawiali "requiem" nad postawą i gotowością tego żołnierza. I tym także, którzy doradzali "urlopować go bezterminowo" dla ukończenia politechniki w Ameryce. Manewry te, których wyniki nieoficjalnie chodzą w "legendzie" po żołnierskich izbach i szkockich domach, wzmocniły polską twierdzę w Szkocji: wykazały raz jeszcze naszą tradycyjną wartość bojową. I jeszcze coś bardzo "important": odroczyły na pewien czas złośliwą, antypolską nagonkę plotek dancingowo-halabardowo-bokserskich.

Miniony tydzień obfitował także w inne, ciekawe zdarzenia. N.p. we środę dowiedziałem się z radia, że w Norwegii wprowadzono w stosunku do ludzi współpracujących z okupantem oryginalną karę: . . . "u t r a t y z a u f a n i a p u b l i c z n e g o." Gdyby tak pomyśleć nad przystosowaniem tej "u t r a t y" do ludzi, którzy nie umieją u nas współpracować z własnymi rodakami? Warto się zastanowić . . .

Na moim własnym odcinku tygodniowym mam także do zanotowania kilka ciekawych epizodów:

We czwartek skarżył mi się pewien starszy strzelec, że zatrzymany został na ulicy przez kaprala, który z przeciwnej strony ulicy upomniał się o ukłon dla siebie. Oj niedobrze! Ukłon mu się należy, ale do tej pory na tym szczeblu takich incydentów nie było. Czyżby już i kapralom brakło poczucia humoru?

W piątek zwierzył mi się ze swoich kłopotów jeden z kolegów, który zaniósł swoje buty wojskowe do naprawy w drodze służbowej. "Właściwa władza" kazała mu trzy razy zmieniać format i treść karteczki z nazwiskiem, doczepionej do buta. Są podobno ustalone wymiary karteczki, długość sznureczka, kieruneczek zwisania i środeczek przyczepiania . . . Nie do wiary a jednak prawdziwe. "Właściwa władzo," pomiętaj, że biurokracja, to wróg nr. 1 demokracji. Porządek musi być, oczywiście, ale na miły Bóg, przyjmijcie raz do wiadomości, choćby z bólem serca, że stary "generał S c h i m m e l" musi odejść bezpowrotnie z armii polskiej. To będzie zgodne z duchem konfederacji zewnętrznej i wewnętrznej.

W sobotę dostałem list z Ameryki od znajomego polskiego operatora filmowego. List był krótki, ale powinien zaciekawić "właściwą władzę," tym razem cywilną. Doświadczony operator filmowy K. przebywający w Ameryce, stara się bezskutecznie od dłuższego czasu o wyjazd do . . . Rosji. Tak jest do Rosji. Chce jechać. Z raju amerykańskiego, spod nieba Kalifornii chce jechać tam. Chce stworzyć polski reportaż filmowy dokumentarny, chce filmować armię polską. Ten sam operator K. ma równocześnie propozycję do Hollywood. Trudny wybór—prawda? Do Londynu wysłał "umotywowane podanie" z załącznikami—z Hollywoodu, przyszedł wytworny list z zaproszeniem do współpracy. Trudny wybór, a jednak operator czeka na odpowiedź "właściwej władzy" z okolic Green Parku londyńskiego.

O co stara się petent? O przewiewny barak w Rosji przy 40 stopniowym mrozie, o trud włóczenia się po rosyjskich dalekich przestrzeniach, o pokonywanie niesłychanych trudności rozmaitego typu. W Hollywood czeka na niego komfort, ciepłe słońce i . . . gorące gwiazdy. Chłopak jest młody, energiczny, ale "nie ma pleców," więc staram się go podeprzeć moim cienkim piórem i zapytuję, czy w drodze wyjątkowej protekcji może zamienić Hollywood na Buzułuk? Incydent raczej smutny ze starej, nie przewietrzonej teki urzędowej, daleki od ducha konfederacyjnego.

Weselsza już jest gazeta, którą otrzymałem w niedzielę z Kanady. Podaję kilka próbek, ogłoszeń, pierwszych z brzegu gwoli rozrywki umysłowej:

"Potrzebna dziewczyna lub kobieta do pracy domowej bez gotowania. Może spać na miejscu lub według życzenia."

Mimo woli nasuwa się pytanie, do czego "według życzenia" jest potrzebna ta osoba?

"Ekspert wróży z listków herbacianych w filiżance."

Może spróbujemy wróżb z zupy żołnierskiej w kotle. Jeżeli jest bardzo rzadka, wróżba może się udać.

Ogłoszenie zakładu fotograficznego: "Fotografujemy rodziny, kolorujemy i powiększamy."

Koledzy, nie "kolorujcie" i nie "powiększajcie" rodzin "somewhere in Scotland."

Ogłoszenie piekarni: "Gatunek idzie przed owijaniem."

Oto jest pytanie. A może owijanie przed gatunkiem? Krzyżówka. Rozwiązujcie.

Ba, nie tylko reklamują się piekarnie i wróżbici. Mają także swoje wielkie ogłoszenia kandydaci do rady miejskiej, którzy tak się zachwalają na ostatniej stronie pisma:

"Obywatele. Głosujcie na E. Vogelmana. Zaręcza, że sumiennie będzie załatwiał sprawy miastowe. Człowiek rozsądny i sprawiedliwy. Zamieszkały w mieście przez 21 lat."

Można się czegoś nauczyć. Gdyby tak nasi kandydaci na radców narodowych spróbowali?

Kończąc tę kronikę obfitego w wydarzenia tygodnia, proszę Was Koledzy i Drodzy Czytelnicy, pisujcie do mnie, jak dotychczas zwierzajac się z bolączek, niedomówień i kłopotów, a zaręczam: "że jako człowiek rozsądny i sprawiedliwy, sumiennie będę Wasze sprawy załatwiał. Zamieszkały w Szkocji przez 19 miesięcy . . ."

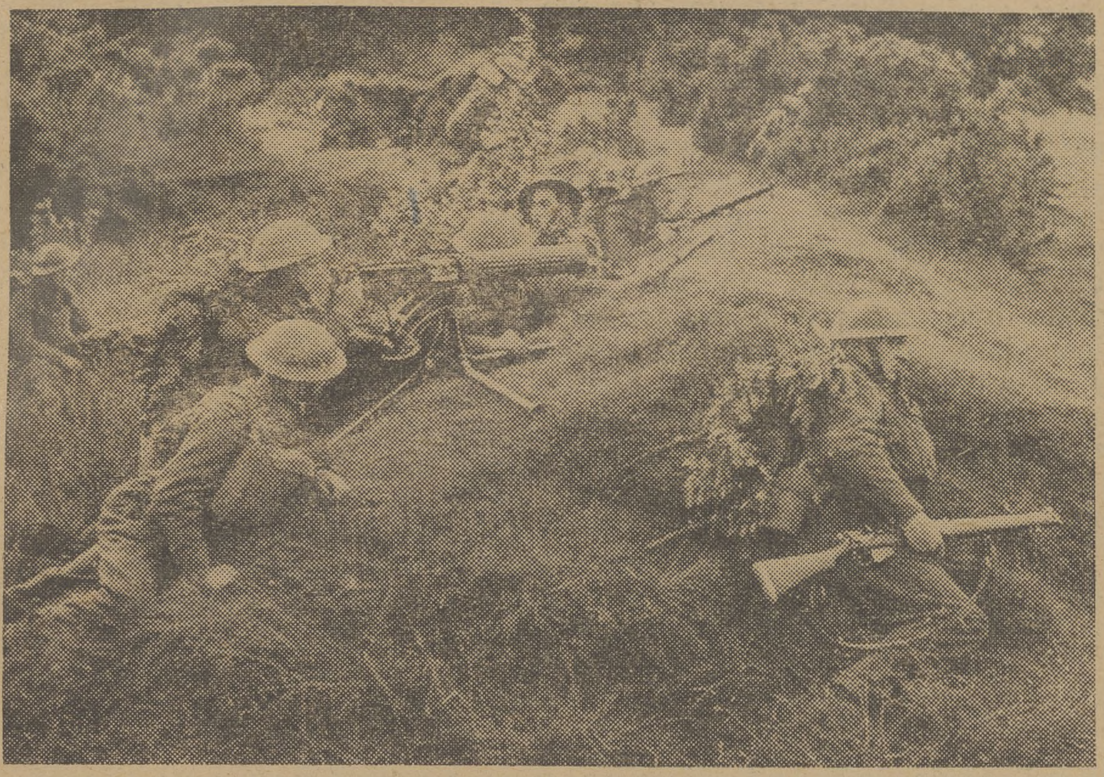
WIKTOR BUDZYŃSKI

Z życia obozów

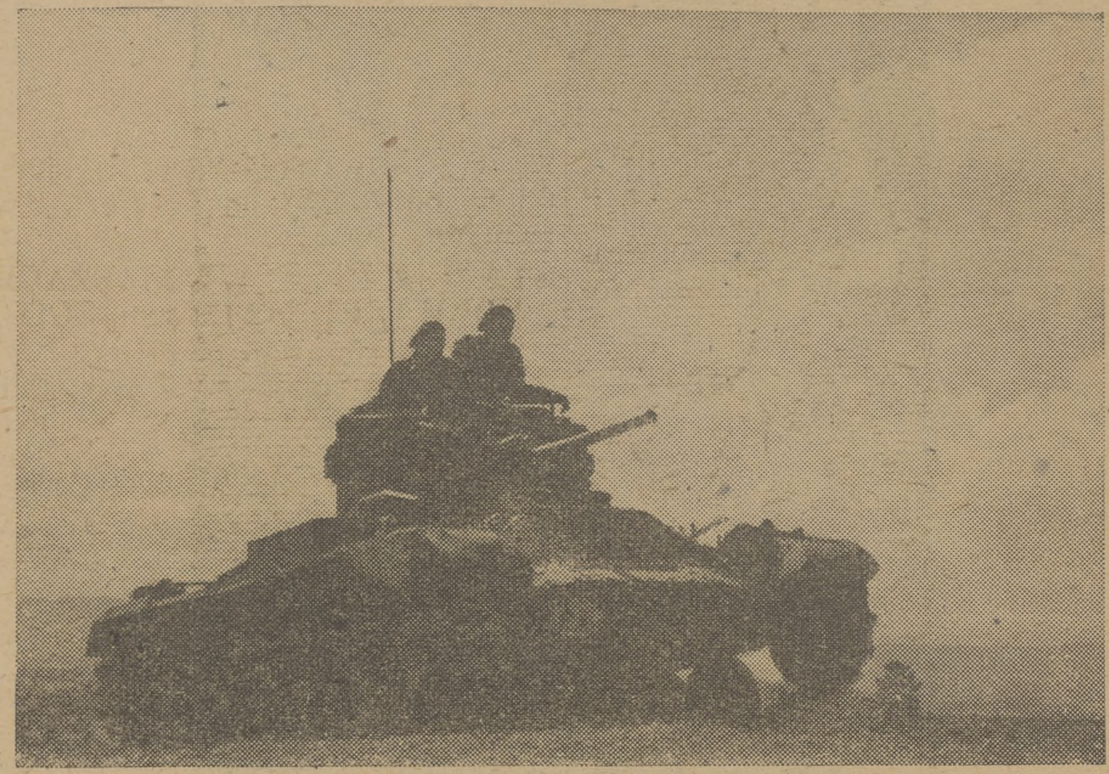
"Czołgiem" kompania



W drodze na stanowiska wyjściowe



Karabin maszynowy na stanowisku



Jadą czołgi . . .



Radiostacja batalionu odpoczywa

NARESZCIE CZOŁGI!

Kiedy, rok temu z górą, wylądowaliśmy po klęsce francuskiej na brytyjskiej wyspie wolności i obsiedli szkockie wzgórza pospołu: ułani z piechotą, artylerzyści z saperami i pancerniakami—słyszało się nieraz nieco ironiczne pozdrowienie: "czołgiem kompania"! Stosowano je złośliwie przeważnie do czarnobereciarzy, którzy czasem wyrażali gniew z tego powodu, czasem uśmiechali się smutno. Ci istotnie do sprzętu szczęścia nie mieli! Zabrakło czołgów w tragicznym wrześniu, później we Francji, ledwie niektóre oddziały "wyfasowały" sprzęt pancerny, zanim zdołały się nim nacieszyć, już trzeba go było zniszczyć, aby nie wpadł w chciwe łapy niemieckie. Kilkanaście francuskich ciągników i działek ppanc., ocalonych przez Podhalan, to był—jak się zdaje—cały "ciężki sprzęt" naszego wojska po odwrocie z Francji.

Jednak i czołgiści się doczekali. Otrzymali już czołgi jak się patrzy, solidne. Nie jakieś tam wysłużone graty do ćwiczeń, ale rzetelny sprzęt bojowy, nowiutki, "prosto z igły." Radość więc była w wojsku pancernym wielka, a zapał do ćwiczeń ogromny. Doskonali kierowcy, świetnie wyszkoleni mechanicy dorwali się nareszcie maszyn. Niebawem i sposobność do ich wypróbowania się znalazła, gdy Sir Allan Brooke, naczelny Wódz *Home Forces* w towarzystwie generała, dowódcy I. Korpusu odwiedził polskie oddziały w Szkocji.



Akcja samarytańska

PRZED GODZINĄ "ZEROWĄ"

O godzinie 9 rano grupują się w lesie czołgi, wyznaczone do przeprowadzenia zadania, na zachód od zwykłego miejsca postoju. Po rozprowadzeniu na drogi wylotowe, maszyny zjeżdżają z szosy na bok, pod drzewa, a załogi przystępują do wykonania kamuflażu. Stroją się czołgi niczym panny do ślubu i po chwili każda maszyna jest już pięknie umajona gałązkami—i niewidoczna pod drzewami z góry niemal zupełnie.

Tymczasem na skraju lasu odbywa się odprawa dowódców, odbywa się dokładne studiowanie map terenowych, dowódcy mniejszych jednostek otrzymują wyjaśnienia. Godzina 13.00 została wyznaczona jako "zerowa." Kończy się odprawa i dowódcy śpieszą do maszyn.

Załogi są już w pełnym pogotowiu. Krótki rozkaz i wszyscy zajmują swe miejsca: kierowca, strzelec i dowódca, który równocześnie jest radiooperatorem. Dowódcy plutonów sprawdzają łączność radiową: w powietrzu krzyżują się tajemnicze kody i zawołania. Łączność nawiązuje także dowódca całości. Porządek jak w zegarku, wszystkie czołgi są "w garści."

Na dany znak kolumny czołgów ruszają na stanowiska wyjściowe, szybko przejeżdżają las, mijają wieś, wspinają się na wzgórze, aby błyskawicznie stoczywszy się w dolinę do drugiego lasu stąd już ruszyć do akcji.

Zanim jednak ta chwila nadejdzie rozpoczyna pracę cały aparat współdziałania. Zajeżdża wóz z radiostacją, jako centralą łączności, przelatuje pędem patrol motocyklistów, nadciąga wreszcie w kolumienkach piechota i zajmuje stanowiska. Kamuflaż doskonały.

Następuje teraz z kolei nawiązywanie łączności pomiędzy czołgami a piechotą, w czym pomagają małe radioaparaty przenoszone na plecach. Zjawia się i "omentra"—obserwator artyleryjski i przyklęka pod drzewem ze swoją lunetą. Motocykliści wrócili już z wywiadu i czekają ukryci pod drzewami; jeden z nich ma nawet sposobność do udzielenia pomocy sanitarnej . . . zajączkowi, który wpadł w jakieś kłusownicze sidła. Po chwili mały kłapouch, uwolniony, z zabandażowanymi skokami goni jak opętany w tył, poza "pole bitwy."

"SKRZYDLACI TOWARZYSZE"

Już niewiele minut dzieli nas od "godziny zerowej." Padają ostatnie rozkazy, ten i ów sprawdza i dociąga rzemienie oporządzenia, gdy wtem jakieś brzęczenie w górze daje się słyszeć mimo pukaniny karabinowej piechoty. Gwar w powietrzu wzmaga się szybko, oto już na horyzoncie ukazują się dwa klucze samolotów w szyku bojowym. Maszyny zataczają wielki łuk w powietrzu i kierują się nad wzgórza "zajęte i umocnione przez nieprzyjaciela." Nagle prowadzący samolot obniża się, a za nim, jak jastrzębie na łup, spadają inne. "Pikują"—poszedł szmer po zaroślach obsadzonych przez piechotę. Powietrzem wstrząsają detonacje, dym zaściela bombardowane wzgórze.

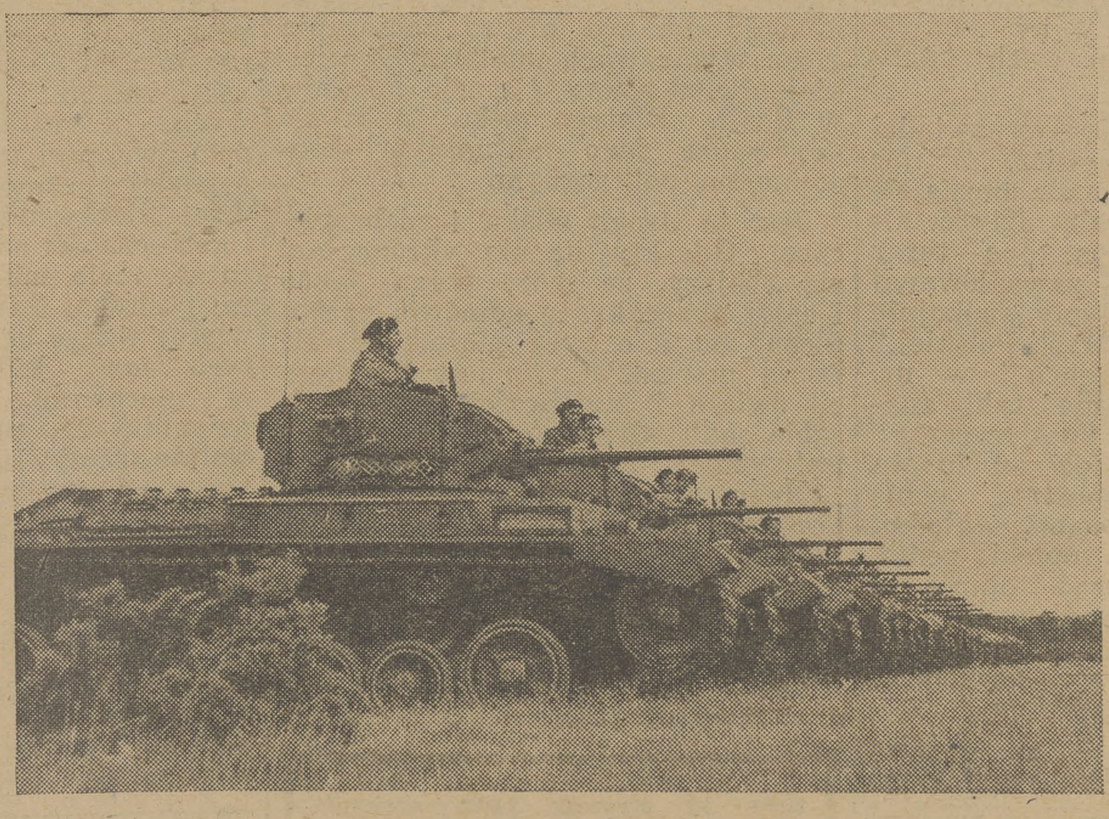
To lotnicy dywizjonu współpracy, czyli pospolicie zwani: "towarzysze" obrabiają bombami wzgórze, aby utorować drogę czołgom i posuwającej się za nimi piechocie. Chwila przerwy, maszyny zawracają, nabierają wysokości i ponownie nurkują nad celem siejąc bomby. Zadanie wykonane. Samoloty odlatują z nad wzgórza i znikają w chmurach, które szybko pokrywają czysty do tej chwili nieboskłon.

Kiedy później piechota zaczęła się zagospodarowywać na "opanowanym" wzgórzu, przekonano się, że bombardowanie było niezwykle celne i skuteczne.

RŻNIJ VALENTY!

Dokładnie o godzinie 13.00 pada rozkaz rozpoczęcia natarcia. Z chrzęstem stalowych gąsienic i głuchym dudnieniem wysuwają się z lasów szybkie "Valentine'y." Armatki czołgów otwierają ogień, piechota, ukryta w cieniu maszyn posuwa się "skokami" na przód. Tempo natarcia jest ostre, ale oddziały piesze dobrze dotrzymują kroku. Nic dziwnego. Przecież to spieszeni ułani jazłowieccy, oddział sławnego 14 pułku kawaleryjskiego. Czegoż to nie nauczyli się już podczas tej wojny: nad fortyfikacjami pracują z saperami na wyścigi i nad morzem straż pełnią, a teraz idą do natarcia sprawnie i szybko jak najlepsza "zawodowa" piechota.

Po wyjściu z lasu atak rozwija się w kształcie olbrzymiego wachlarza. Kiedy się patrzy z góry wygląda to tak, jakby jakiś potężny, stalowy wąż plujący ogniem i dymem czołgał się ku wzgórzu, aby je zdławić w śmiertelnym oplocie. Przypadająca co chwilę do ziemi i kryjąca się w nierównościach gruntu piechota ledwie jest widoczna, ale i terkot uparty jej cekaemów i karabinów świadczy, że napór się wzmaga. Czasem któryś z pędzących czołgów znika nagle za zasłoną dymną i chwila upłynie, zanim znowu wynurzy się z szarego obłoku, jak przedpotopowy smok z jaskini.



Czołgi gotowe do przeglądu po akcji

Pogoda psuje się zupełnie. Nadciągają nowe zwały niskich chmur i deszczyk siąpić zaczyna, grunt wilgotnieje, ale natarcie nie traci rozpędu.

"Nieprzyjaciel" także nie próżnuje i nie czeka biernie. Lecą petardy pod gąsienice czołgów, huk wstrząsa powietrzem, dym przesłania widok na chwilę. Nie wstrzymuje to ataku; czołgi suną jak lawina. Mimo bliskich wybuchów nie ma żadnych mankamentów technicznych, żadnych opóźnień—atak rozwija się normalnie "zgodnie z planem" mówiąc stylem komunikatów wojennych. "Biali ułani" ze znanej "dwudziestki-czwórki" pełniący rolę rozjemców pilne dają baczenie na wszystko.

Już lewe skrzydło natarcia osiąga powoli linię wyznaczonych wzgórz i silnym, skoncentrowanym ogniem wspiera podejście części środkowej i prawej. Wybuchy petard, pozorujące ogień artyleryjski potężnieją i stają się częstsze. Ale to już ostatni wysiłek energii "nieprzyjaciela," gdyż za chwilę piechota idzie do szturmu. Wzgórze jest zdobyte, cel natarcia osiągnięty, trąbka ogłasza zakończenie ćwiczeń, a równocześnie niemal nadciąga:

ODSIECZ KANTYNOWA

Zajeżdża auto specjalne—dar z Ameryki—otwiera się tylna ściana i stosy sandwiczów i przekąsek udostępnione. Zewsząd ciśnie się głodna wiara, pojawiają się kubki gorącej herbaty i gwarny krąg otacza co raz szczelniej "ruchomą kantynę." I ten obiekt także został zdobyty.

Powoli jednak łamie się "pierścień oblężniczy"; drobne grupki czołgistów i spieszonych ułanów rozkładają się na trawie, z której słońce już zdążyło wypić wilgoć deszczu i zaczyna się koleżeńskie omawianie tego, co się działo w "ogniu."

CZAS DO DOMU CZAS

Równocześnie w innym miejscu odbywa się omówienie przebiegu ćwiczeń, które nie najgorzej chyba wypadły, skoro dowódcy mają po odprawie zadowolone miny. Raz jeszcze rozlega się łoskot zapuszczanych motorów: czołgi ruszają i ustawiają się do przeglądu. Ustawia się długi szereg, groźnie najeżony lufami dział.

Jest godzina 16 po południu, gdy długi wąż stalowych maszyn wyciąga się z powrotem ku miejscu postoju. Na dobrej, gładkiej szosie "Valentine'y" mkną szybko wśród chrzęstu gąsienic, mijają spokojne wioski, przejeżdżają wśród pól, na których pracujący żniwiarze przerywają na chwilę pracę, powiewając chusteczkami, wjeżdżają w las i giną w oddali.

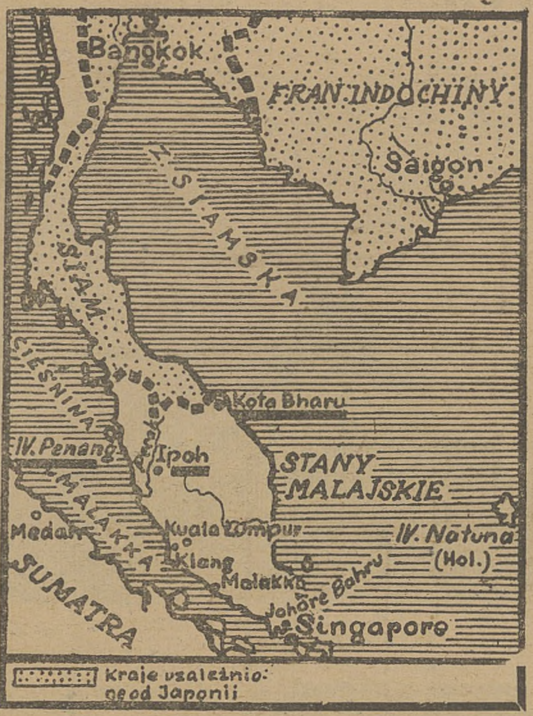
Ale kiedyś, może już ta chwila niedaleka, spłyną czołgi ze szkockich wzgórz, przemierzą pędem doliny i wynurzą się groźne, ogniem ziejące na tamtym brzegu, jako niezwalczona szturmowa kolumna zwycięskiego powrotu.

LUDWIK BOJCZUK,
STANISŁAW ROCHOWICZ
Zdjęcia
STANISŁAWA ROCHOWICZA



Wykonanie kamuflażu

Szkic sytuacyjny



ZWYCIĘSTWO CHURCHILLA

Premier brytyjski odnosi w parlamencie nielada zwycięstwo. Wierny swojej tradycji mówienia prawdy, nie zataja, że "pewne rzeczy wzięły zły obrót i że należy oczekiwać jeszcze gorszych wieści." Ale równocześnie podkreśla, że jeżeli w walkę jaka szaleje na globie rzucimy ostatni łut energii, to *walka ta będzie wygrana.* Innymi słowy Churchill—znowu wierny swojej tradycji z okresu Dunkierki—powiada, że *wojnę tę wygrać można tylko największym natężeniem sił i energii i że automatycznego zwycięstwa nie ma.*

Dojrzały naród angielski przyjmuje tego rodzaju lekcje. Parlament głosuje za Churchillem. Ale i premier pod wpływem głosów krytyki, postanawia iść na pewien kompromis i stworzyć *ministerstwo produkcji.* Zagadnieniu produkcji wojennej poświęci rząd brytyjski więcej uwagi, głównie zaś sprawie koordynacji wytwórczości wojennej, celem uniknięcia rozmaitych skrzepów, sporów, opóźnień.

Bój Churchilla na terenie parlamentu był doskonałym przykładem *prawdziwie demokratycznej gry sił:* autorytetu, który rośnie przez powiedzenie gorzkiej prawdy w oczy oraz korzyści, jaką mąż stanu czerpać może zawsze z krytyki.

DALEKI WSCHÓD NAPAWA OBAWĄ

Oczywiście, obawy społeczeństwa angielskiego w sprawie Dalekiego Wschodu nie zostały rozproszone. Społeczeństwo to odczuwa żywo te wypadki: dla Anglika pojęcie Singapore to coś, jak dla nas pojęcie Wilna czy Lwowa. Dlatego doniesienie, że wycofano się z lądu stałego na Malajach i że Singapore, leżący na wyspie, jest obecnie oblężony przyjęto w Anglii z zaniepokojeniem.

Singapore winien się bronić przez czas dłuższy; przepowiednie w tej mierze są zawodne, a wszystko zależeć tu będzie od *zaplecza*, przede wszystkim *lotniczego.* Jeżeli trzy lotniska Singaporu, posiłkowane lotniskami—czy lądowiskami — na Sumatrze, potrafią uporać się z "Blitzem" lotniczym uprawianym przez Japończyków, to wówczas oblężenie Singaporu potrwać może długo. Nie zapominajmy zaś, że w maju nastaje *pora monsunowa* i że wówczas na znacznym obszarze Pacyfiku lotnictwo będzie częściowo unieruchomione, częściowo mocno w akcji ograniczone.

Z tej racji Japończycy śpieszą się. Nie wiemy, czy istotnie mają oni aż 100.000 żołnierza na lądzie stałym na Malajach, jak to donoszą niektóre pisma angielskie, czy mniej, w każdym razie ich przewaga liczebna i materiałowa jest ogromna i szczupła armia brytyjska, która znajdowała się na Malajach nie mogła stawić odpowiednio skutecznego oporu.

Japończycy zasilają niewątpliwie swoje armie we wszystkich punktach, a transporty żołnierza japońskiego płyną, mimo bombardowania amerykańskiego i brytyjskiego. Flota japońska nie napotyka na większy opór, gdyż siły amerykańskie związane są na Atlantyku i nie opuszczają go a brytyjskie trzymają zarówno straż na Atlantyku jak i na Morzu Śródziemnym, które jest dla Imperium bardzo doniosłe, jeżeli nie o wiele donioślejsze niż Daleki Wschód.

WAGA AFRYKI

Znaczenie Afryki dla przebiegu wojny na Bliskim Wschodzie, dla basenu Morza Śródziemnego, dla Rosji, dla całego wreszcie przebiegu wojny—jest *niezmierne.* Dlatego też postępy Rommla śledzone są przez znawców brytyjskich z największą uwagą. Rozumieją oni, że utrata *Benghazi* jest zjawiskiem niepomyślnym i że trzeba za wszelką cenę raz jeszcze cofnąć Rommla i zlikwidować paskudnie trudny problem Trypolitanii.

Rommel jest dzisiaj słabszy aniżeli był w listopadzie 1941. Za tym wnioskiem przemawia wiele. Z drugiej jednak strony uzyskanie przez niego Benghazi w tak szybkim tempie dowodzi, że pragnie on przez to właśnie Benghazi *zasilać się* od strony Sycylii i stałego lądu Włoch. "Blitz" lotniczy skierowany na *Maltę* przez Niemców, posiłkowanych Włochami, dowodzi, że państwa osi chcą chronić swoje linie zaopatrzenia i że pragną unieruchomić Maltę.

Do nastania w Libii upałów niewiele stosunkowo zostało czasu. Z tej też racji należy oczekiwać jakichś szybkich a wcale decydujacych poruszeń na tym obszarze. Jeżeli Hitler podejmie naprawdę działania w strefie Morza Śródziemnego podjąć je winien *w lutym.* Jeżeli luty minie spokojnie, wydaje się, że nie powinno być żadnych nadmiernych niespodzianek aż do kwietnia, kiedy ofensywa niemiecka w Rosji musi być podjęta—o ile Rzesza będzie mogła się na nią zdobyć *w tych rozmiarach,* o jakich marzy.

FRONT SOWIECKI

Rosjanie idą powoli, ale metodycznie na przód. Zaniepokojenie, jakie fakt ten budzić musi w Rzeszy, jest zrozumiałe: dla przeciętnego Niemca stała utrata terenu na rzecz wojsk sowieckich nie wróży niczego dobrego, straty w ludziach na skutek mrozu dowodzą, że ich morał i postawa nie będzie najlepsza *i na wiosnę,* gdyż żołnierz niemiecki nabrał w stosunku do Rosji *niechęci połączonej z pewnym zabobonnym lękiem.* Jest to pierwsza kampania, która nie tylko nie przyniosła łatwych zwycięstw, ale nie przyniosła żadnych "*miłych chwil.*" Nic w tej kampanii z zwycięstw francuskich, z doskonałych kwater, poczucia panów świata w cudownym kraju. Rosja zapadła w pamięć żołnierza niemieckiego jako kraj ponury, kraj grozy.

Odrodzenie wojska niemieckiego na wiosnę nie będzie łatwym zadaniem; odtworzyć je w jego *wartości bitewnej,* to chyba już niemożliwe. Zakłady zbrojeniowe Niemiec pracują napewno ze zdwojoną energią, fabryki w krajach podbitych mozolą się napewno ogromnie, ażeby nadążyć i ażeby wyrzucić odpowiednią ilość sprzętu. Ale nawet jeżeli produkcja niemiecka silnie się wzmoże, nawet jeżeli czołgów tych będzie nowe tysiące a maszyn grube setki—czy starczy tego na produkcję sowiecką, która też *nie śpi?*

Wątpliwości tego rodzaju muszą przenikać do mózgownicy przeciętnego Niemca. Rosja co raz bardziej wydaje mu się jakimś przekleństwem, jakimś sakiem, w który wpadła armia niemiecka, *beczką bez dna.* Złudzenia i *marzenia* na temat Rosji i Ukrainy, kraju obfitości, *upadły.* Pozostała naga prawda: konieczność walki w kraju, który jest wrogi już *w samym swoim krajobrazie i klimacie.* Dlatego to wiosenna kampania w Rosji, zapowiadana tak hucznie przez Hitlera w jego ostatniej mowie, *nie wzbudza napewno entuzjazmu w Rzeszy.*

Londyn, 1 luty 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Można pogratulować "Polsce Walczącej", że swoimi ciągłymi apelami w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji wysunęła tę jedną z najważniejszych i najpilniejszych naszych aktualnych potrzeb w świadomości opinii Polaków w Wielkiej Brytanii na miejsce czołowe. Głosy p. A. Mamrota, A. Kujawskiego dobrze się przysłużyły sprawie, której chwilami groziło utonięcie w wirze rozgrywek politycznych. Zbiórki w dniu 31 stycznia w polskich biurach rządowych, podjęcie inicjatywy "Polski Walczącej" na łamach "Dziennika Polskiego" przez ludzi uczciwych, wrażliwych na nędzę, jak p. K. Leskowiec, świadczą, że jesteśmy na dobrej drodze, że sprawa zaczyna z wolna ruszać z martwego punktu. Jest teraz rzeczą prasy zwłaszcza Pana organu, by ofiarność nie wyładowała się w odruchu jednorazowym, lecz przybrała charakter stałego opodatkowania.

Obok tej sprawy—pomocy materialnej dla Polaków w Rosji—zaczyna się tu teraz jednak w stosunku do Polaków z Rosji w opinii polskiej emigracji w Anglii ujawniać inny, wysoce niepokojący fakt. Jest nią sprawa postawy pewnych polskich pism politycznych wobec opinii, przekonań i nastrojów dwumilionowej masy polskiej w Rosji. Zaczyna się mianowicie szerzyć sugestię, że ta masa potrzebuje opieki, litości, współczucia z naszej strony, ale że z powodu swego odcięcia przez blisko dwa lata od wojny i życia politycznego jej sąd o wypadkach aktualnych nie liczy się, nie może poważnie wchodzić w rachubę. Sugeruje się między wierszami, że ta masa jest biedna, ale politycznie niedojrzała, po prostu zbyt niewyrobiona, by mogła zabierać głos w sprawach publicznych.

Tego rodzaju sądy wypowiadał kilkakrotnie p. Mackiewicz. Znając jego poglądy z dawna nie można się temu było dziwić, ale dziwić się można, że zaczynają one teraz w formie bardziej zawoalowanej przenikać także na łamy spokojnie dotąd redagowanej "Myśli Polskiej." W "Notach i uwagach" w nr. z dnia 20-go stycznia takie znamienne czytamy spostrzeżenia: "Ci męczennicy, odcięci od świata i możliwości wyrobienia sobie własnego sądu, biedni, głodni, najwyższej litości i opieki godni, mają teraz wydawać opinie o sprawach międzynarodowych, do których potrzebna jest długa obserwacja i drobiazgowa znajomość walczącego globu ziemskiego."

Można rozumieć, że są różnice zdań co do paktu polsko-rosyjskiego wśród Polaków. Mozna także rozumieć, że nawet w łonie jednego stronnictwa jedni wolą wyczekiwać i uchylać się od ciężkiego brzemienia odpowiedzialności, gdy drudzy przełamują szranki solidarności partyjnej i ponad nią stawiają chęć współpracy, chęć współtworzenia nowej rzeczywistości. To wszystko można rozumieć, gdyż to są normalne w każdym społeczeństwie różnice zapatrywań i poglądów.

Ale nie można rozumieć, nie można się godzić, a nawet trzeba głośno protestować, gdy ktoś tak jest zadufany w swój rozum polityczny, że niemal odmawia prawa zabierania głosu w sprawach publicznych wielkiej, *dwumilionowej* masie Polaków w Rosji. Dlatego tylko, że to nie odpowiada jego aktualnym konstelacjom politycznym.

Jest to droga śliska i niebezpieczna. Gdy ktoś na nią wkroczy ani się obejrzy, że może potem łacno i całej masie kraju odmówić prawa głosu, bo i o niej można równie łatwo powiedzieć, że jest "odcięta od świata i możliwości wyrobienia sobie sądu własnego, biedna głodna, najwyższej litości i opieki godna".

Nazywając rzeczy po imieniu, bez ogródek, znaleźliśmy się na drodze niebezpiecznej demagogii antydemokratycznej. Wyobrażać sobie, że "długa obserwacja i drobiazgowa znajomość walczącego globu ziemskiego" u jednego człowieka jest więcej warta, niż rozum i doświadczenie dwumilionowej masy—coś w takim rozumowaniu jest w grubym nieporządku, mierząc to tylko prostym zdrowym rozsądkiem. Bo nawet przyjąwszy założenie, że ta masa była długo pozbawiona informacji, czyż należy sądzić, że uzyskawszy do nich dziś dostęp—dziś w dwudziestym wieku, w dobie radia i prasy—nie potrafi tych braków szybko nadrobić?

Ta zaś masa ma w swym doświadczeniu życiowym coś, czego brak współpracownikom londyńskich pism. Ma taką sumę cierpień, przejść i związanych z tym przemyśleń, rewizji najbardziej zastarzałych schematów myślowych, że w swej zdobytej trudem świeżości umysłowej może mieć bardziej niezawodny instynkt, bardziej niezawodne wyczucie prawdy i konieczności potrzeb Polski, niż my tutaj. Nie ma wątpliwości co do tego chyba, że na szali dziejowej więcej ważyć będzie kiedyś postawa tych mas, które wyszlachetniały w cierpieniu, niż megalomania dziennikarzy, przykrawających dowolnie rzeczywistość do miary swych potrzeb partyjnych.

Trzeba się zastrzec, aby ktokolwiek choćby na chwilę pozwalał sobie arogować prawo dyskryminowania głosu dwumilionowej masy polskiej. Czy nie zdaje sobie sprawy, że te masy jakże szybko w ogniu wojny dojrzewają, i że nie pozwolą nikomu na usuwanie siebie poza nawias życia publicznego?

Zamiast odmawiać Polakom w Rosji prawa zabierania głosu w sprawach publicznych, zamiast niewczesnego ironizowania na temat "płomiennych apeli" w sprawie pomocy dla Polaków w Rosji, będzie lepiej, gdy zdobędziemy się ponad różnicami politycznych przekonań na solidarną, wspólną pracę w kierunku zebrania największych środków dla ulżenia ich ciężkiej doli. To nasz elementarny i jedyny obowiązek w tej chwili wobec tej jakże ciężko dotkniętej masy polskiego społeczeństwa.

Adam Ordęga

P.S. Wezwany przez p. Pawła S. w "Dzienniku Polskim" z dn. 2-go lutego 41 składam na ręce Pańskie, Panie Redaktorze, kwotę £4. Robię tak dlatego, że "łańcuch ofiar" zainicjowany przez "Dziennik" nie wydaje mi się załatwieniem właściwym i całkowitym sprawy pomocy dla Polaków w Rosji. Jestem zwolennikiem *dobrowolnego, powszechnego, progresywnego i stałego opodatkowania* osób cywilnych i wojskowych. Zwracam się do Pana z prośbą aby "Polska Walcząca" nadal szerzyła to hasło. Taki *zbiorowy* odruch dałby większy rezultat materialny, a i jego znaczenie moralne dla Polaków w Rosji byłoby o wiele bardziej doniosłe. Spełniłaby się wtedy myśl, której służył organ Pana od chwili apelu p. St.Sz. w dniu 4 października 1941, realizowanego stale w każdym numerze, poczynając od dnia 13-go grudnia 1941.

Poszukuję Jakóba REINGEWIRTZA, lat 28 zamieszkałego przed wojną w Warszawie przy ul. Pańskiej. Łaskawe wiadomości Constance Sandham, 44, Gray St. Workington, Cumb.

Kierownik Biura Konstrukcyjnego poszukiwany przez Organizację Inżynierów w N.W. Londynie. Wymagane pierwszorzędne doświadczenie mechaniki rysowniczej i wiadomości teoretyczne z tej dziedziny. Pożądana znajomość angielskiego, niemieckiego lub francuskiego. Zgłoszenia do Berry Co., 437, Grand Bldgs., Trafalgar Square, W.C.2—Box No. 56.

SPIS RZECZY



WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.